Nr. 14 (1058). Warszawa, dnia 24 Marca (6 Kwietnia) 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60, rocznie rb. 10.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 4 do 6 po południu.
Rękopisów nie odsyla się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.



LOS KONGREGACYJ.

Dnia 25 z. m. Izba francuska uchwaliła art. XIV prawa o stowarzyszeniach, dotyczący kongregacyj religijnych. Na mocy tego artykułu prawo nauczania musi być stowarzyszeniom typu wyznaniowego wyraźnie przyznane, ażeby nie było czynem bezprawnym, ściganym przez państwo. Rozprawy były długie, namiętne. Interesowani w panowaniu miecza duchownego i pragnący miecz świecki oddać przyszłemu monarsze, zarówno silili się na argumenty i wnioski, aby tylko ten najrdzenniejszy artykuł prawa ograniczającego pożądaną swobodę ruchów zwalić. Rząd bronił swego projektu stanowczo i umiejętnie. Jak poprzednio przy artykule, który dozwala działalności filantropijnej, z miłości bliźniego i miłosierdzia wynikającej, nie znać było stronniczego zacietrzewienia, się właściwego nienawiści, tak i przy tym, społecznie i politycznie najważniejszym, wzgląd na dobro Francyi wyłącznie kierował urzędowymi obrońcami nowych zasad do prawa publicznego wprowadzanych. Najdzielniejszą obronę znalazło ograniczenie prawodawcze po zaszeregami rządu. Nad całą wrzawą myśli i namiętności, zapanowała mowa Leona Bourgeois, i słusznie Izba kazała ją po całym kraju urzędownie rozgłosić. Prócz niej głębiej wryje się w pamięć Francuzów jeszcze jedno słowo p. Waldeck-Rousseau.

Przyznanie prawa nauczania przez samo uznanie stowarzyszenia za zdolne do życia grozi społeczeństwu politycznemu i samej umysłowości francuskiej wielkiem niebezpieczeństwem — mówił były minister republikański. Klasztor wydaje wojnę społeczeństwu świeckiemu, nauka jego walczy z nauką świecką. Na wystawie jubileuszowej wieku Bourgeois, prezes komisyi oceniającej, poznał w urządzeniach i podręcznikach przez klasztory wystawionych, zgubne skutki wychowania, jakiem darzą Francyę szkoły klasztorne. Podręczniki wszczepiają w umysły młodzieży pogardę dla instytucyi republikańskich, na historyę i cywilizacyę nakazują patrzeć okiem średniowiecznej przemocy i wszechwładztwa nad umysłami, posuwają się nawet do apoteozowania inkwizycyi hiszpańskiej i, podżegając do fanatyzmu i nienawiści, wywracają jedyną zasadę porządku dla nowoczesnego państwa, zasadę rzeczywistej szeroko pojętej tolerancyi, w której tkwi i sama swoboda wyznań.

Młodzież, wychowana w klasztorach, później w wieku dojrzałym, musi wnosić w społeczeństwo żagiew rozdwojenia, apostołować nienawiść do instytucyj, poglądów i ludzi nauce klasztornej przeciwnych; musi, co gorsza jeszcze, buntować się przeciw władzy narodowej i nawet ulicy używać za sprzymierzeńca w walce z prawami i porządkami spoleczno-politycznymi narodu.

Ten przyczynowy związek między klasztorem a ulicą, jest taką prawdą, że dość było przytoczyć cały bulanżeryzm, cały nacyonalizm, wszystkie te niezliczone bunty przeciwko ojczyźnie w jej życiu wewnętrznem, wypełniające od lat dwunastu dzieje Francyi, aby argument mowy uznać za głos samej rzeczywistości. Cała ta naganka na rzeczpospolitą, wszystkie generalskie pobrząkiwania i pogróżki, rojalistowskie spiski, Derouledowskie i Habertowskie zamachy i napaści, ci wielcy ludzie na 24 godziny, jak Marchand, zmieniający się jak pajace w cyrkach, cała niegodziwa kampania przeciwko rewizyi procesu, senatowi i rządowi, przeciw Zoli i Dreyfusowi—w klasztorach miały swe źródło, obok pretensyj dynastycznych, obficie zasilających ducha walki z rzecząpospolitą. Zakon jest urodzonym wrogiem rzeczypospolitej, bo wie doskonale, że łatwiej ołtarzowi, do jakiego dąży, utrzymać się przy tronie, niż na forum. Stąd miał zupełną słuszność powiedzieć Waldeck-Rousseau: „Izba, przyjmując ten artykuł, przez to samo już stwierdzi wolę wytrwania w tradycyach republikańskich.“ Tak jest, odrzucenie byłoby dowodem, że rzeczypospolitej już niema w duszach, i wskazówką, że jej wkrótce nie będzie i na powierzchni społeczeństwa. Za artykułem głosowało 318, przeciw niemu 239: dobro wygrało sprawę.

Gdy na uchwalone ograniczenie spojrzymy ze stanowiska praw człowieka, bądź co bądź mimo handbuchów i katedr niemieckich, górującego nad wszelkiemi innemi—nie będziemy mieli powodów do radości. Lecz takie stanowisko, wysoce szanowane przez konstytucyę amerykańską, nie jest dostępnem dla europejskiego, nie tylko utylitarnego, ale i zasadowego rozumu. W Europie człowiek urobił się inaczej niż w Ameryce i co innego też i on sam i jego prawo tu znaczy. Wykołysany przez średniowieczność, zagrzęzły w niej, nie mógł się wznieść do pojęcia religii jako sprawy wewnętrznej sumień, z wyznania religijnego uczynił sprawę społeczną, a rozwój państwa nowożytnego w Europie nakazał mu ją ukształtować jako rdzennie polityczną. Taki artykuł, jak w konstytucyi amerykańskiej: „Kongres nie będzie się wtrącał w sprawy religii“—w Europie byłby najwyższą abdykacyą i największem też niebezpieczeństwem. Dopóki się człowiek w Europie nie urobi inaczej i dopóki społeczeństwo sprawy należące do jednostki uważać będzie za swoje: regulowanie społeczne fali religijnej nie da się z żadnej polityki wytrącić, żadnemi rozumowaniami znieść; sam instykt zachowawczy podsycać je musi. Dopóki sam kościół, prawiąc o niebie, będzie zagarniał ziemię i wdzierał się na stanowisko polityczne, powinna zawsze w potrzebie znaleźć się i ręka, którąby go strąciła.

Dobrze się stało, że takiej ręki teraz nie zbrakło we Francyi.

Tydzień polityczny. W Chinach rozdwojenie. Napięcie energii angielskiej widać z polemiki między rządami angielskim a niemieckim o znaczenie paragrafu drugiego umowy z d. 16 października r. z. Szlachetny lord złożył wyznanie wiary zaszczytne dla cnoty angielskiej: nie chce nic brać, pragnie Chiny wzmocnić i niepodległość ich obwarować, ale w cnotę, która raz już skosztowała owocu z drzewa wia-

domości złego i dobrego, nie łatwo uwierzyć. Posłowie ciągle jeszcze zgłębiają zamożność Państwa Środka, aby do niej przystosować swe straty i wysokość wynagrodzenia. Niemcy i Anglicy nie dostaną już pięćdziesięciu głów prowincyonalnych: Rosya, Stany Zjednoczone i Japonia oparły się dalszym czynom cywilizacyjnej pomsty Europejczyków za czyny barbarzyństwa chińskiego.

Ces. Wilhelm d. 28 z. m. wprowadzał do nowych koszar w Lustgarten pułk gwardyi imienia Cesarza Aleksandra. Przy sposobności powiedział mowę. Była ona nawet w tem niezwykłem krasomówstwie, któremu świat od lat już prawie trzynastu się przysłuchuje, niezwykłą. Gdyby miasto powstało znów kiedy przeciw swemu królowi, pułk bagnetami zdusi hardy opór ludu (*Unbotmassigkeit*). Cesarz, mówiąc „znowu," myślał o wypadkach i roli odegranej przez pułk w d. 18—20 marca 1848 r.

Izba deputowanych w Wiedniu wybrała delegacye i rozjechała się na wypoczynek.

Izba francuska uchwaliła utrzymanie kongregacyj kościelnych w koloniach, pozostawiając je nadal pod rządem administracyi.

We Włoszech komisya budżetowa zamanifestowała się przeciw rządowi: odrzuciła jego projekt zniesienia cła na zboże. Zanardelli zapowiedział reformy. Przypomina się przysłowie rusińskie: „Obiecaw pan kożuch, da słowo jeho tepłe."

ŻYCIE SPOŁECZNE.

O ZDROWIE MORALNE I FIZYCZNE.

Na marcowem posiedzeniu sekcyi rolnej w Warszawie przeczytano odezwę Towarzystwa hygienicznego treści następującej: W niektórych okolicach kraju istnieje zwyczaj umieszczania w jednej izbie po dwie rodziny służby folwarcznej. Zwyczaj ten uprawiają na dobre nawet dwory zamożne. Jakie są jego skutki pod względem moralnym i fizycznym, każdy łatwo osądzi. Towarzystwo hygieniczne, zwracając na to uwagę sekcyi rolnej, prosiło o przeciwdziałanie w tej mierze instytucyi ziemiańskiej tak poważnej i wpływowej. W sali, przepełnionej rolnikami z różnych okolic kraju, odezwę przyjęto uroczystem milczeniem. Nikt nie zabrał głosu w tej sprawie, nikt nie podał jakiegoś konkretnego projektu reformy warunków mieszkalnych służby folwarcznej. W prasie również nikt tej sprawy nie podniósł i nie rozwinął.

Wogóle warunki zdrowotne mieszkań służby folwarcznej są grzechem śmiertelnym przeciwko hygienie społecznej. Jak zaś dalece są zgubne skutki tego zaniedbania, niech powie następujący protokół komisyi sanitarnej: „W majątku Cześniki, gub. Lubelskiej, pow. Tomaszowskim, wybuchła śród służby folwarcznej epidemia tyfusu brzusznego. Wyznaczona z rozporządzenia władzy komisya sanitarna, po zbadaniu d. 18 stycznia rzeczy na miejscu, orzekła, iż przyczyna znacznej śmiertelności, bo aż 25% (zwykle 10%) leży jedynie w niezachowaniu warunków hygienicznych."

Stan mieszkań służby folwarcznej bardzo prawdziwie scharakteryzowała p. Michalina Domańska w rozmowie bohaterów swojej powieści p. t. „Brzydka". — „Czy pani, panno Józefo, była kiedy w mieszkaniu parobków u siebie we dworze? — Nie! — Pani nie wie zatem, jak to wygląda: Izba nizka z malutkiemi okienkami, które się nie otwierają i nie przepuszczają światła, bo są mętne od brudu, podłogi niema, jest tylko błoto na ziemi i jamy, do których się wylewają pomyje. Łóżek także niema, jest wielki pomost z desek, niemytych od chwili położenia i szeroki piec gliniany. Na jednym i na drugim śpią rzędem parobcy, okręceni kożuchami; w izbie takiej bywa ich czasem do dziesięciu. Pani nie mogłaby sekundy wytrzymać w zaduchu, jaki tam panuje. Tam, gdzie parobek żonaty, sprawa tak się przedstawia: w takiej samej izbie, jak poprzednia, bez podłogi, prawie bez okien, kilkoro dzieci, kilkoro prosiąt i kilka kur hoduje się razem. W kącie pod łóżkiem, albo koło progu jama, do której się wylewa wszelkie nieczystości..."

To nie fantazya powieściopisarska; to najrealniejsza rzeczywistość. Takich mieszkań dla służby folwarcznej jest bardzo wiele w naszym kraju. I czyż tylko dla służby folwarcznej? Czytelnicy *Prawdy* zapewne pamiętają tragiczny wypadek przed kilku miesiącami. Śmierć gorzelanego Danielewicza. Dano mu na mieszkanie psią budę, którą ogrzewając śmiertelnie zaczadział. Przejrzyjmy folwarki, a znajdziemy setki mieszkań brudnych, ciemnych, dziurawych, wilgotnych, walących się, w których podczas mrozów, pomimo codziennego palenia, temperaturę można doprowadzić zaledwie do 7—9° wyżej zera. Widzieliśmy i takie mieszkania, w których, pomimo zamkniętych drzwi i okien, świece gasły podczas wiatru na dworze. Są to mieszkania, przeznaczone dla oficyalistów wszelkiej kategoryi. Dzieje się to w chwili ogólnej dążności do podniesienia hodowli bydła i koni, w chwili, kiedy rolnicy nasi w swoich instytucyach wygłaszają odczyty o hygienie zwierząt domowych, dają wskazówki i rady, jak mają być utrzymywane hygienicznie obory, stajnie i owczarnie. Istotnie, we wzorowych gospodarstwach niejedna obora, stajnia lub owczarnia, stokroć są lepiej utrzymane, niż mieszkania dla służby folwarcznej, a parobcy szczerze zazdroszczą krowom i owcom ich lokalów z komfortem urządzonych. Podczas gdy rolnicy starają się coraz energiczniej zapobiegać wszelkim epizootyom, w chałupach służby folwarcznej szerzy się tyfus brzuszny. Dziedzice tymczasem utyskują na niewdzięczność tej służby, która opuszcza ich i wędruje do innych szukać szczęścia, albo udaje się na zarobki do Prus. Właściciele ziemscy uskarżają się, że ich służba jest leniwa, apatyczna, senna, że wykonywa roboty automatycznie, bezmyślnie i że pod tym względem ujawnia niekiedy mniej inteligencyi, niż koń albo wół dobrze utrzymywany; ale nie chcą szukać źródła złego, którego część jest tak blizko: w ich własnych mieszkaniach folwarcznych. Faktem jest, iż w rodzinach parobków bardzo często panuje zupełne rozprzężenie moralne, na które właściciele ziemscy również się uskarżają i upatrują źródło złego w „naturze chamskiej." W rzeczywistości mieści się ono gdzieindziej. Miazmaty moralne, gangrenujące rodziny parobków, gnieżdżą się w tych samych mieszkaniach, które niekiedy przypominają opisywane przez Maksimowa i Doroszewicza lokale więzienne w ogniskach ciężkich robót.

Humaniści i różni badacze społeczni już dawno jaskrawymi przykładami stwierdzili zgubny wpływ mieszkań na moralność rodzin ubogich, z których kilka naraz mieści się pod jednym dachem. Znakomity badacz cytuje następujące słowa pewnego urzędnika policyi o młodych dziewczynach miejskich: „Ich głęboka niemoralność w najwcześniejszej porze życia, ich bezczelność i bezwstyd przechodzą wszystko, cokolwiek widziałem najgorszego w Londynie przez cały czas swej służby. Młodzi mężczyźni i dziewczęta, ojcowie i matki żyją jak świnie i śpią w jednej izbie."

SZKICE WIEJSKIE.

Emancypantka.

Szesnaście lat miało to dziewczątko, gdy je matka zeswatała.

Krzywiły się siostry, że zamłoda, że nie umie jeszcze nic, ale matce pilno było, pilniej niż córce.

Ta bo nie miała wcale głosu; nawet nie spytali, czy jej się Leopold podobał. Pewno! tegoby jeszcze brakowało, pytać smarkatą o zdanie!

Szewc, rzemieślnik; będzie miała chleb, a o ten chleb idzie starej najwięcej.

Zresztą smarkata może i rada, że będzie miała swego chłopa i dom. Bawią ją też i ślubne szaty i ten rwetes w domu! A wszystko dla niej, „względem" niej, która dotąd niedawno popychadłem była.

— Julka tu! Julka tam!

Byłać, co prawda, półtora roku za niańkę „u swojej pani," ale siostry wpłynęły na matkę, żeby ją odebrała.

— Cóż to za przyszłość dla niej! Służba — mówią — jużby lepiej dać ją uczyć szycia.

Tymczasem zaś posługiwały się dziewczyną obie: tej dzieci bawiła, tamtej izby sprzątała, obydwom wodę dźwigała.

Matczysko zaś latało po osadzie z koszami ciastek.

— Boże! Boże!—wyrzekała nieraz w dni slotne — jakie ciężkie moje życie.

I ślizgała się w zimie, rąk i nóg nie czuła wieczorem, gdy do domu wracała.

Trzeba było wszędzie dotrzeć: od jednego końca osady do drugiego i po schodach nalatać się! A kosze ciężkie, pełne pieczywa słodkiego.

— Ale życie moje niesłodkie — zapłakała sobie nieraz wdowa.

Oj! rada też ogromnie, że już ostatnią córkę wyda za mąż i sama trochę odetchnie.

Wydała więc dzieciaka! i była pewna, że na tem koniec.

Oj! początek to był dopiero, początek całego szeregu dni smutku i łez dla dziewczyny.

Rzemieślnik — naturalnie, że rzemieślnik! — ale przedewszystkiem podróżnik, literat, tylko nie szewc.

Książeczki czytać, na rozmowy spraszać znajomych i „predykować."

Z początku Julę wielce to cieszyło. Na wet wychwalała się przed sąsiadkami, że jej Leopold to najmądrzejszy nad wszystkich.

— On tylko ma rozum, on tylko wie wszystko, zawsze racya przy nim.

No, bo i pan Leopold nie odrazu do kopyta wstrętu nabrał. Kleił trzewiczyska bez żadnej przyjemności, ale też nie silił się na moc i elegancyę.

— Zedrą się i tak — mawiał.

A Julka uwagi te przyjmowała za czyste złoto!

— Musi tak być, kiedy on to mówi.

Martwiła się tylko czasem, że mało zarabia, ale on i na to umiał znaleźć radę.

— Masz matkę, nie bez tego, żeby jakiego grosza nie zebrała, to nas poratuje.

I tak przez parę lat wdowa ratowała jeszcze młodych, aż ze starszemi córkami wywędrowała do Ameryki. Założyły tam wielką pralnię, a matka gotowała. Doskonale im się wiodło, ale matczysko zawsze wzdycha za najmłodszą i listy do niej wypisuje. Przysyła też chusteczki jedwabne wnukom, a u Leopoldów potrzebaby raczej chleba, niż jedwabnych chusteczek!

Coś podobnego dzieje się i w naszych warunkach życia miejskiego; ale to się tłomaczy skupieniem nędzy w wielkich ogniskach, drożyzną lokałów i ciasnotą. Inne warunki są na wsi, a jednak rodziny służby folwarcznej, zmuszone do wspólnego zamieszkiwania jednej izby, oddychają taką samą atmosferą moralną.

Gazeta lubelska, która wydrukowała protokół komisyi sanitarnej o epidemii tyfusu brzusznego, zaznacza, że zapowiedziana na wrzesień wystawa przemysłowo-rolnicza w Lublinie będzie miała sekcyę hygieniczną, której zarząd właściwie już istnieje i rozesłał okólnik wraz z gotowymi do zapełnienia schematami, dotyczącymi stanu zdrowotnego warstw robotniczych na prowincyi. Jest wszakże rzeczą bardzo wątpliwą, czy te zabiegi wydadzą owoce pożądane. *Gazeta lubelska* radzi stworzyć komisyę specyalną, złożoną z ludzi fachowych, którzy zebraliby łatwo materyał, niezbędny do przedsięwzięcia jakichkolwiek działań skutecznych. Zebranie jednak materyału, zdaniem naszem, nie wystarczy bez dobrej woli rolników. We wszystkich okolicach kraju mamy sporo ziemian światłych i przejętych poczuciem dobra społecznego, którzy już niejednokrotnie byli inicyatorami ulepszeń ważnych w dziedzinie gospodarki ekonomiczno-społecznej. Mają oni możność wypowiadania swojej inicyatywy publicznie we własnych stowarzyszeniach rolniczych. Otóż tą samą drogą powinni oddziaływać na ogół rolników w sprawie polepszenia warunków mieszkalnych służby folwarcznej i wogóle oficyalistów wiejskich.

Zen. Piet.

Z NIEMIEC.

Berlin, 29 marca.

Że Polacy są najniewdzięczniejszym na świecie narodem, o tem tutejsze wróble opowiadają sobie na dachach od lat co najmniej kilkudziesięciu. Ponieważ jednak przyjaźń, podobnie jak miłość, robi ludzi ślepymi, więc „nasi najserdeczniejsi," tj. ultramontańscy szczęśliwi posiadacze mandatów polskich, przeoczyli tę prawdę dla nas gorzką a dla Niemców oczywistą i utartą. I dopiero w ostatnich latach, gdy na Górnym Śląsku rozbudziła się silna reakcya przeciwko tresurze i uciskowi germanizacyjnemu, gdy Górnoślązacy odmówili posłuszeństwa i wierności centrum, ultramontanie spostrzegli po niewczasie, jak grubo zawiedli się na Polakach. Prawdopodobnie swe rozczarowanie i pomyłkę ukryliby przed światem pod korcem dyskrecyi politycznej, gdyby nie zmusił ich nieszczęsny zbieg okoliczności. Centrum, jak wiadomo, od kilku lat zaawansowało na partyę rządową i w swej lojalności bezgranicznej, miłości do militaryzmu i pochopności do zatwierdzania wszystkich niespodzianek i zachcianek budżetowych stało się „bardziej papieskiem, niż papież sam." Wskutek tego junkrzy, uważając siebie za wyłącznych „nadwornych dostawców" lojalności, starają się przez zawiść konkurencyjną przy każdej sposobności oczernić zacnych ultramontanów. D. 3 marca jeden z dowódców junkierskich wytoczył na pole bitwy działo największego kalibru. Jeśli — wołał — centrum na seryo bierze sobie do serca dobro rządu pruskiego, dlaczegóż brata się z plemieniem tak nieprawomyślnem, jak Polacy? Dnia 10 marca odbyła się publiczna spowiedź i skrucha centrum. Polacy — twierdził ultramontański poseł Bachem — wciąż narzekają na hakatę, zapomnieli jednak o belce we własnem oku. Wszakże istnieje i polski hakatyzm, który coraz odważniej podnosi głowę. Ten szkodliwy i ze wszech miar karygodny kierunek powinni bezwarunkowo zwalczać posłowie polscy tem bardziej, że od pewnego czasu zaczął grasować w stronach, które oddawna były terytoryum politycznem centrum. Sama sprawiedliwość nakazuje Polakom nie tykać cudzej własności. Wara Polakom od Górnego Śląska, owej ziemi obiecanej, płynącej mlekiem i miodem, dzięki szlachetnej opiece parlamentarnej centrum!.. Tego samego dnia inny poseł z centrum, ks. Glowatzky (Niemiec), odczytywał oburzające do głębi każdą ultramontańską duszę, ustępy z broszury, wydanej przez *Dziennik berliński* p. t. „Precz z centrum." Inny znowu członek centrum, poseł gliwicki Heisig, nazwał Górnoślązaków prosto z mostu Prusakami mówiącymi po polsku, tylko z tą samą konsekwencyą zapomniał dodać, iż są luteranami, wyznającymi wiarę katolicką. Na wszystkie te ostre zarzuty centrum odpowiedział w imieniu Koła polskiego ks. Jażdżewski, przysięgając uroczyście, iż posłowie polscy nie nie mają wspólnego z owym nieszczęsnym radykalizmem górnośląskim, będącym dziełem rąk jakichś tam obieżyświatów. Potępienie ruchu śląskiego przez posłów polskich prawdopodobnie rozdmuchałoby nieco gasnącą przyjaźń ultramontańsko-polską, gdyby Górnoślązacy nie zakłócili idylli parlamentarnej, dopuszczając się nietaktownego wybryku. Mianowicie na zgromadzeniu publicznem w Opolu została przyjętą następująca uchwała: „Zebrani w Opolu — opiewa rezolucya — protestują przeciwko temu, jakoby na Górnym Śląsku istniała jakaś niedozwolona agitacya. Jest to tylko zdrowy ruch narodowy, do którego początek dali tacy mężowie górnośląscy, jak redaktor Miarka, nauczyciel Lompa, ks. Szafranek, ks. Damroth i wielu innych dzielnych obrońców ludu polskiego na Górnym Śląsku, a którego się bynajmniej nie wypieramy, gdyż do ruchu tego, obracającego się w dozwolonych granicach konstytucyi pruskiej, mamy takie samo prawo, jak każdy inny poddany odmiennej narodowości."

Owo pamiętne jednak wystąpienie centrum, kiedy ono dało nauczkę Polakom, zagroziło wypowiedzeniem przyjaźni i cofnięciem swej łaski, ma jednakże to do siebie, iż zbogaciło słownik polityczny w nowy wyraz: „hakatyzm polski." Ten nie tyle piękny ile logiczny zwrot stał się konikiem, na którym harcują obecnie ministrowie pruscy, zapewniając, iż hakata pruska i ograniczenie języka polskiego są tylko odpowiedzią na hakatyzm polski. Ciekawą rzeczą byłoby zbadać, w jakiej formie objawiała się hakata polska w r. 1790, gdy król pruski Fryderyk Wilhelm II-gi wydał następujący reskrypt dla Śląska Górnego:

1) Żadnemu obywatelowi ziemskiemu nie wolno przyjąć parobczaka lub dziewczyny na służbę, jeśli nie znają języka niemieckiego.

2) Żadnej dziewczynie nie wolno wyjść za mąż przed 16 rokiem, jeśli się nie nauczy po niemiecku.

3) Żaden parobek nie może się żenić przed 27-ym rokiem, jeśli nie umie po niemiecku.

Ten sam król wyznaczył nagrody za germanizacyę. Nauczyciel za zniemczenie rocznie tuzina dzieci polskich otrzymywał 12 talarów, w drugim roku 20, w trzecim 30 itd. Ksiądz zaś, jak przystało na osobę duchowną, pobierał tytułem gratyfikacyi od rządu pruskiego 50 talarów i lepsze probostwo.

Zobaczymy teraz, co właściwie centrum ma do zarzucenia hakacie polskiej. W połowie siódmego dziesiątka lat zdobyło ono przebojem Śląsk Górny. Bez wielkich wysiłków udało mu się wyprzeć wolnokon-

---

I z tego cichego, łagodnego dziewczątka wyrobić się musiała pracownica, bo dzieci przybywało, a pilności u szewca ubywało.

— Cóż ty masz mnie na zabicie?—złościł się na każdą uwagę żony.

A były i wymysły, i krzyki, czego się Wolentarska najwięcej bała.

— Już mam taką naturę — skarży się do „swojej pani," że wolę zmilczeć, żeby tylko hałasu nie było.

Ona też milczała, a on bywał coraz głośniejszy.

Ulżyła chyba sobie tylko, skarżąc się przed swoją dawną panią.

— Nikt nie wie — mawia — co ja od niego wycierpię, bo mnie wstyd wyrzekać i nic mi to nie pomoże.

Do pani tylko mówi wszystko, choć i ta jej nic nie pomoże, karci tylko Wolentarską.

— Bójcie się Boga, toćbym mu nie pozwoliła krzyczeć, sama bym krzyczała! Dzieci obszyć, ugotować, dom uprzątnąć, czy to mało roboty? Jakże on śmie wam wymyślać.

— Nie można, proszę pani — odpowiada zawsze — nie można; on już z takiej popędliwej rodziny, żeby mię gorzej jeszcze zwymyślał. A pomsta! a obraza boska! Już wolę popłakać i nie sprzeczać się.

Dowodziła, że oni wszyscy „takie narwane" i znajdowała ulgę w tem tłomaczeniu.

Panu Leopoldowi zaś różne projekty spać nie dają.

Najpierw zaczął perswadować żonie, żeby mogła też po za domem jaką robotę znaleźć, bo on ma wielką chęć odrazu się zbogacić.

A jakże to tak można odrazu!

I dziwiła się i rozmyślała, ale na myśl takiego łatwego zarobku nie wpadała.

Wolentarski jednak ma już dawno pomysł gotów.

Zbrzydły mu szydła, znudziły kopyta, nawet na rodzinne miejsce narzeka.

— Tu człowiek zmarnieje i nie dorobi się nigdy. Cóż to za zapłata 50 kopiejek za zelówkę! Czy to warto psuć sobie ręce za takie marne pieniądze?

I zaczął nienawidzieć zelówki. Zszywać też nie lubił; nauczył żonę, żeby to robiła. Zszywali więc niemi i łatka „puszczała" na drugi, trzeci dzień.

I roboty odnosić nie chce.

— Będę tam — mówi — pode drzwiami wystawał, aż mi w garść pieniądze dadzą.

Wstyd mu poprostu.

— A cóżeś ty za szlachcic? — dziwi się Wolentarska. Tonieraz, widzę, Dydek sam odnosi robotę, choć wygląda na pana!..

I tłomaczy mu, jak może najdelikatniej, że gdyby odniósł sam, zarazby i miarkę mógł wziąć.

— I panie cię poznają — dodaje — jedna drugiej powie.

Ale gdzie to tam! Głupstwo, niech sobie Dydki chodzą, a on nie pójdzie i tyle.

A po każdem takiem odezwaniu, perswazyi, usłyszy zawsze Wolentarska:

— Psia....! — i wiele innych rzeczy.

Pani wydziwić się nie może, skąd ta słodycz u takiej prostej kobiety; namawia ją stale „na wymysły," na „otrząśnięcie się" mężowi — zawsze napróżno.

— No i cóż dobrego, proszę pani — odpowiada — to mnie zwymyśla, krzyku narobi, wstydu, i nic nie pomogę. Zresztą już nie mam „tej natury," cóż ja poczną.

A panią ten brak „tej natury" i dziwi i irytuje.

— Żeby też pozwolić poniewierać się!

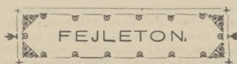
— E! proszę pani, abo to ja wszystko powiem! Nieraz zezwie mnie tak, że wstyd powtórzyć i nie wiada za co. Tylkoby pieniędzy dawać i dawać, a skąd ich nabrać? Przysyłały czasem siostry z Ameryki, przysyłała częściej matka, ale to wszystko mało!

serwatywnych posibrzuchów. Odtąd zapanowało ono tam prawie niepodzielnie i taki np. Ballestrem, pan z panów, zyskał sobie zaufanie wyborców jedynie tylko jako nieposzlakowany ultramontanin. Przed dziesięciu laty jak grzmot z pogodnego nieba gruchnęła wiadomość, iż narodził się na Śląsku ruch polski. Gdy ultramontanie zaniepokojeni zaczęli tropić owego potwora, który im nie dawał spać, nikt nie potrafił im dać żadnych określonych wskazówek. W Rybnikach utrzymywano, że to zapewne w Hucie Królewskiej, tu zaś padało podejrzenie na Gliwicę. Dopiero z czasem odważył się i ruch polski wyjść na arenę jawności publicznej. Byli to przeważnie drobni przemysłowcy i kupcy, którzy mieli odwagę zapewniać, że będąc dobrymi katolikami, zaliczają się jednocześnie do narodowości polskiej. Szlakiem tym poszli wkrótce lekarze i adwokaci; maluczko a powstały nawet stowarzyszenia polskie. Centrum jednak nie trwożyło się zbytnio o swe mandaty.

Przedewszystkiem szlachty polskiej na Górnym Śląsku ani śladu, stan średni polski zdziesiątkowany, a lud pracujący, czyli tak zwani „dumme Wasserpolaken,“ robili to, co im w swej ojcowskiej pieczołowitości radzili ultramontańscy duszpasterze. Zebrań żadnych w czasach spokojnych nie zwoływano, lecz tylko podczas wyborów kandydat mówił coś o prześladowanem w Niemczech katolickiem centrum, a naród, wysłuchawszy kazania niemieckiego, oddawał swe głosy zacnemu ultramontaninowi, który przybywszy do Berlina, zatwierdzał w imieniu ludu śląskiego z czystem sercem marynarkę, pochwalał rzezie chińskie i w jedwabnych pończochach wywijał ultramontańskiemi nogami hołubce na balach dworskich i tylko wtedy, kiedy tańczył polkę niewiadomo dlaczego przychodził mu na myśl Śląsk. Lecz oto zaszło coś niespodziewanego. Podczas gdy zacni centrowcy śpiewali psalmy chwały na cześć wielkich zwycięztw niemieckich na morzem, śród ludności śląskiej na tle głodu, owej chronicznej klęski pruskiego Eldorada, rozmnożyły się zarazki opozycyi społecznej. Dezynfekcya ultramontańska okazała się nieco spóźnioną. Wtedy to Polacy zrozumieli, iż niema nic wiecznego na świecie i że lata panowania centrum są policzone. Wprawdzie w swoim czasie niemieckie duchowieństwo Śląska nadesłało petycyę do ministeryum oświaty, prosząc o zaprowadzenie wykładu religii w języku polskim. Ale rzecz ta nie sprawiła wielkiego wrażenia. Na zebraniach ludowych Śląska są odczytywane formalne akty oskarżenia przeciwko centrum, tak iż księża z oburzeniem opuszczają sale zgromadzeń. Niesłychane oburzenie wywarło, oprócz przytoczonych wyżej filipik parlamentarnych centrum zapewnienie p. Tiedemanna, jednego z filarów H. K. T., iż niedawno do tego szlachetnego towarzystwa zapisał się na członka pewien wodzirej stronnictwa centrum katolickiego. Tiedemann dodał w nawiasie, iż duchowieństwo śląskie pozostanie, jak się wyraził, pod żelaznymi rządami kardynała Koppa, głuchem na śpiew syreni agitacyi polskiej. Opinią tą wyświadczył rycerz germanizacyi niedźwiedzią przysługę centrum! Na szczęście jednak dla tej napół już zdetronizowanej potęgi, czuwa nad umysłami „Wasserpolaków“ okiem argusowem władza miejscowa. Widząc mianowicie, jakie spustoszenia sprawia przysyłany z Berlina wspomniany wyżej *Dziennik berliński*, zwierzchność szkolna wydała przeciwko niemu prawo drakońskie treści humorystycznej mniej więcej następującej:

„Kogo z was (uczniów szkół elementarnych) spotkamy z *Dziennikiem berlińskim* w ręku, o kim się dowiemy, że go w domu czytał lub oglądał (!), kto się odważy — brzmi najbardziej patetyczny ustęp—chleb lub książkę zawinąć w to pismo, ten będzie skazany na uczęszczanie „do szkoły aż do szesnastego roku życia.“

H. F.



PAMIĘTNIK.

Encyklika.

Czasopisma nasze ogłosiły encyklikę papieską w sprawie „demokracyi chrześciańskiej.“ Leon XIII, zastanawiając się nad faktem powstania stowarzyszeń i prądów, noszących rozmaite imiona, będących po części bocznemi odroślami socyalizmu, po części jego przeciwstawieniem, a opartych na gruncie religijnym, wybiera jako najodpowiedniejszą dla nich nazwę „demokracyi chrześciańskiej,“ której usiłuje nadać znaczenie zgodne z duchem ewangelii i nauką kościoła katolickiego. Z pojęcia „demokracyi“ wyłącza on panowanie ludu, równość stanów i tym podobne pierwiastki, a rozumie ją i każe wiernym rozumieć jako cnotę miłosierdzia, zobowiązującego bogatych do zajmowania się biednymi. Ewangeliczne uzasadnienie tego obowiązku ma się znajdować w przykazaniu o miłości bliźniego.

Że arcykapłan olbrzymiej gminy religijnej, obejmującej 270 milionów wyznawców, zabiera głos w sprawach, które w pewnej mierze należą do sfery moralnej, że swojej owczarni pragnie wskazać drogę właściwego postępowania, że ma do tego najzupełniejsze prawo jako jej pasterz, nikt chyba nie zaprzeczy. Ale i to nie ulega wątpliwości, że Leon XIII w przedmiotach i zagadnieniach świeckich przecenia zarówno swój wpływ, jak rozum. Występował on kolejno z ostatecznem rozstrzygnięciem rozmaitych, często bardzo trudnych i zawiłych kwestyj polityczno-społecznych, i ani razu nie dostrzegliśmy w życiu wyraźnych śladów i skutków jego interwencyi. Na szalę wypadków jego uroczyste słowa padały lekko jak puchy i podczas gdy on mniemał, że nazajutrz po jego encyklice kolej świata zmieni zupełnie swój kierunek, ona szła dawnym torem. I jeżeli w obecnej odezwie papież powstanie wielu instytucyj demokratycznych (kas, sekretaryatu pracy, towarzystw ubezpieczeń itp.) przypisuje swoim zaleceniom, to łudzi się, gdyż one były koniecznym wytworem sił i rozwoju życia, nie zaś wykonaniem jednostkowych życzeń lub rozkazów. Poezye, listy, encykliki, które Leon XIII niezmordowanie pisuje, uważając się za natchnionego proroka, za mistrza mądrości i za najwyższego sędziego wszelkich procesów historycznych, mogą nieraz świadczyć o jego dobrych chęciach, ale zawsze przytem świadczą o jego iluzyach. Francuski mąż stanu słusznie powiedział: „Ani muzą, ani wodą różaną nie można wyleczyć wielkiej choroby społecznej.“

Dym i ogień.

Pomiędzy *Kijewlaninem* a zarządem kolei Nadwiślańskich toczy się od kilku tygodni znamienna polemika. Gazeta kijowska ogłosiła szereg artykułów, w których jakoby na podstawie wiarogodnych dowodów twierdzi, że na drogach Nadwiślańskich odkryto wielkie nadużycia, których dopuszczali się urzędnicy w zmowie z interesantami przy transporcie towarów,

---

Wolentarski zaś zdecydował się wyjść raz z tego zaczarowanego koła: zachciało mu się Ameryki. Dopóty pisywali listy, prośby, aż siostry przysłały „szyfkartę.“ Obiecuje, że tam będzie zarabiał; siostry tyle pisują o swych bogactwach, dorobi się i on z pewnością.

Zupełnie zapomina, że ażeby się dorobić, trzeba robić, a jemu ani w głowie robota. Gdyby to dzień, dwa, to jeszcze.

Teraz przedewszystkiem śni mu się podróż, zmiana miejsca, nowi ludzie. Zobaczy to, o czem nieraz czytał, no i wypróżnuje się, odpocznie. Nie będzie już słyszał tego „syku“ Julcynego; bo ono kobiecisko przez delikatność tak cichutko go prosiło, „upominało.“

I bachory mu się sprzykrzyły, i żona, i wszystko!

Humor teraz ma doskonały, pakuje rzeczy, żegna się ze wszystkimi i wyrusza po bogactwo; tak przynajmniej obiecuje żonie.

Po wyjeździe tego „jedwabnika“ wprzęgła się do pracy nietylko Wolentarska, ale i najstarsza dziewczyna: dziewczyna przy dzieciach i w domu, ona... wzięła kosze na ręce, zupełnie jak matka.

Zapłakała, kobiecisko, gdy je pierwszy raz dźwignęła.

— Już widać Pan Bóg mi tak przeznaczył: i mnie i matce.

I biegała tak ze słodyczami od rana do wieczora, nieraz bez obiadu, bo jej żal czasu było wstępować do domu.

W domu dawał radę malec dwunastoletni: i obiad gotowała, i młodsze rodzeństwo karmiła, i izbę porządkowała. O! do tego miała nawet pasyę wielką.

— Dobrze — mówi — że mama poszła, przynajmniej raz porządnie sprzątnę.

I wymiatała z kątów, wycierała po kilkakroć każdy stołek; tak czyściutko było w tej izdebce, że gdyby nie zaduch, przyjemnieby było wejść i posiedzieć.

Ona z dumą zasiada na kanapie, (co ją matka za $1\frac{1}{2}$ rubla od wdowy po urzędniku kupiła), zasiada na swej kanapce i ogląda po kolei wszystkie dobrze znane graty: i wielką szafę do rzeczy, i szafkę ze statkami i fotel, jak jej się zdawało eleganckie; wszystko było prześliczne i dziś czysto wyglądało.

Niezadowolona jest tylko z łóżka; wprawdzie cztery wielkie poduszki podnoszą się prawie do sufitu, ale są bez wszewek! A cóż to za pościel bez wszewki, bez ozdób szydełkowych!

Ma ona już, w pudełku zaczętą, ale nie umie jeszcze dobrze, i czasu teraz nie ma; brudne więc to jest do niepoznania. Spogląda jednak z dumą na pudełko i swoją pracę.

A Wolentarska nie może się nacieszyć swoją dziewczyną. Taka jest o dzieci spokojna, jak by sama w domu była.

— I krzywdy im nie da zrobić, i wszystko posprząta.

Tylko chłopak ją martwi! po każdym powrocie schodzą się sąsiadki z żalami na niego. Tę zwymyślał, tamtej dobrego słowa nie dał, owej szybę zbił.

A ono kobiecisko miękkiego serca nic mu nie mówi.

— Proszę pani, skarży się, jak wrócę do domu, tobym tylko płakała! One mi się skarżą, a ja wcale nic nie słyszę, bo myślę, co ja jutro zarobię, za co dzieciom ubranie kupię, a skąd dług zaciągnięty na mieszkanie zepchnę.

Bo widzi, że Leopold nie przyśle nic. Pisze list za listem, opisuje taniość niezwykłą, podróż, morze, ale nie przysyła ani grosza.

Pewno z wiosną wróci, jako ten bociek do gniazda.

I Wolentarska cieszy się, choć nie śmie się do tego przyznać.

Choć on nygus, ale zawsze mój; — tak sobie wzdycha, — ale się z tem nie wyda

że dzięki temu systematycznie okradano kolej za pomocą fałszywych deklaracyj i zmyślonych pretensyj, że nawet wydział prawny jest zamieszany w te nadużycia itd. Dyrekcya co do ostatniego punktu stanowczo zaprzeczyła, co do innych przyznała fakt, wszakże w bardzo drobnej mierze. *Kijewlanin* jednak nie ustąpił i dalej podtrzymuje swoje oskarżenia.

Nie możemy gołosłownie rozstrzygać tej sprawy, która prawdopodobnie znajduje się na drodze urzędowego śledztwa. Nie obchodzi nas również materyalna jej strona, tylko moralna. Mianowicie, nie chcielibyśmy, ażeby śród nas istniało gniazdo zepsucia, które swoimi złymi wpływami zarazi obszerne koło ludzi. Jak wielkiem jest to gniazdo, jak daleko sięgają te wpływy, nie wiemy; ale wiemy, że oddawna do organizacyi i ruchu transportowego kolei Nadwiślańskich zakradła się jakaś nieprawidłowość, że istnieją osobne biura, które gromadzą i skupują od interesantów pretensye frachtowe (o nadwyżki w pobranej opłacie), że trudniący się tem specyalni obrońcy w krótkim czasie doszli do wielkich majątków — o tem wiemy, a to dowodzi, że jakieś koła, sprężyny i transmisye w maszynie kolejowej potrzebują naprawy. Może oskarżenia *Kijewlanina* są dymem, ale ten dym wychodzi niewątpliwie z ognia.

Czuła troska.

Dzięki wielkiej niedojrzałości społecznej mamy ogromną skłonność do wchodzenia na jedną z najbardziej śliskich dróg, jakie przecinają pole życia zbiorowego. W obradach stowarzyszeń, w artykułach dziennikarskich, w całej naszej socyologii praktycznej wyskakuje ciągle ten środek, który ma być zaradczym we wszystkich wypadkach zbyt kłopotliwych dla rozumu i sumienia. Jakaś kobieta zjadła bułkę ze sporyszem — zabronić siania pszenicy, jakiś chłopiec zmącił sobie głowę książką naukową — zabronić popularyzowania wiedzy, ktoś otruł się grzybami—zabronić zbierania bedłek —oto pogotowie ratunkowe naszej „krytyki praktycznego rozumu." Że pod ten „kategoryczny imperativ" skrywa się zwykle samolubstwo jednostkowe lub stanowe—odgadnąć łatwo. W zeszłym tygodniu mieliśmy znowu próbkę tego rodzaju troski o „dobro powszechne." Ponieważ zdarza się czasem, że chorzy sami sobie przepisują picie wód mineralnych ze szkodą dla swego zdrowia, więc dr. A. zaproponował Towarzystwu hygienicznemu, ażeby picie takich wód bez pozwolenia lekarza było zakazanem. Ponieważ zaś nie jest to jedyny środek, którego swobodne używanie może ludziom zaszkodzić, więc idąc dalej w kierunku owej dbałości, należałoby również zabronić używania bez zgody lekarza: rabarbarum, mięty, ogórków, kapusty, wieprzowiny itd., zwłaszcza że bywają wypadki, w których np. ogórek może stać się dla chorego niebezpieczniejszym, niż szklanka Marienbadu.

Nam się zdaje, że troskliwi o zdrowie ogółu lekarze lepiejby zrobili, zaznajamiając go z działaniem wód mineralnych, niż zabraniając mu ich picia.

Warszawa czy prowincya?

Czytelnicy nasi przypominają sobie zapewne zamieszczony przed paru tygodniami w *Prawdzie* artykuł p. t. „Hygiena miast", w którym autor zwraca uwagę na smutne, niekiedy wprost okropne warunki zdrowotne większości naszych miast i miasteczek na prowincyi. Wobec bijących w oczy faktów, przeciw którym tam powstawano, dziwnie optymistycznem wydaje nam się nawoływanie p. Fr. Kuźnickiego, namawiającego ze szpalt *Gazety Polskiej* do gromadnej emigracyi na prowincyę emerytów warszawskich, a więc ludzi, którym z natury rzeczy iść musi przedewszystkiem o dobre warunki hygieniczne. Ziemią obiecaną, do której, jak ongi Mojżesz, chce on wprowadzić swój lud wybrany panów radców i naczelników, jest Radom, gdzie niema wprawdzie rzek mlekiem i miodem płynących, lecz mają być tańsze mieszkania, tańsze i lepsze środki spożywcze, świeższe powietrze, większy spokój etc. etc.

Pomijając pewną tendencyjność, z jaką autor gromadzi nawet swe dane cyfrowe, nie rozumiemy, dlaczego Radom właśnie ma mieć wyłączny przywilej do stania się polskim Gratzem emerytów warszawskich, gdy równie dobre, lub lepsze nawet, prawo do tego powinnyby mieć, z punktu widzenia p. Fr. K., takie np. położone w malowniczej okolicy Kielce, leżący na górze nad Wisłą i tonący w zieleni ogrodów Płock, lub zresztą którekolwiek inne miasto prowincyonalne. W gruncie rzeczy jednak wszystkie one wywierają często wrażenie elegantki, która na dzień świąteczny przybiera się w atłasy i jedwabie, zapomina tylko o takiej drobnostce, jaką jest—zmiana brudnej bielizny. Radom np. zaprowadza u siebie oświetlenie elektryczne, halę do sprzedaży produktów spożywczych i inne wielkomiejskie udogodnienia, lecz zaniedbuje stale uregulowania ścieków ze swych garbarni lub przykrycia w jakiś sposób cuchnącego kanału, który od lat wielu, jak tylko zapamiętać możemy, zatruwa powietrze w okolicy t. zw. starego ogrodu.

Kielce mogłyby istotnie stać się jednem z najmilszych naszych miast prowincyonalnych, a produkty spożywcze mają znacznie tańsze od Radomia, cóż jednak poradzić na to, że w lecie zwłaszcza, na niektóre ulice wychylić się niepodobna, nie zatkawszy wprzód szczelnie nosa, a kanały i ścieki przeprowadzane bywają przez sam środek bramy, w takich nawet domach, których wygląd zewnętrzny nie pozostawia nic do życzenia.

I tak wszędzie i zawsze: pewna kategorya elegantek gotowa jest nawet ubrać się w brylantowe brosze i złote zausznice, zapomni tylko—o czystej bieliźnie. Dopóki więc i miasta prowincyonalne nie przypomną sobie o tem, mniej widocznym na zewnątrz, ale niezbędnym artykule ubrania, radzilibyśmy szczerze emerytom naszym, aby się wstrzymali z wyjazdem.

Nieznajomość prawa.

W tygodniu ubiegłym na posiedzeniu sekcyi handlowej adwokat J. Lange wygłosił odczyt o nieznajomości prawa śród ogółu naszego, co bardzo często bywa przyczyną wielu zawikłań, nieporozumień a nawet dotkliwych klęsk materyalnych. Nietylko ludzie ciemni, ale nawet dość wysoko wykształceni nie mają najmniejszego wyobrażenia o elementarnych zasadach prawa, niezbędnych w życiu codziennem. U nas utrudnia rozpowszechnianie prawa nietylko sama jego natura; stoją także na przeszkodzie pewne czynniki specyalne, jak np. brak udziału społeczeństwa w pracy ustawodawczej; przytem prawnicy nasi w znacznej większości oddani są adwokaturze, a więc nie mogą zająć się rozpowszechnianiem wiadomości prawnych. Tymczasem stosunki życiowe tętnią szybko i rozwijają się, a więc brak wiadomości prawa odczuwać się daje coraz dotkliwiej i przynosi coraz większe szkody społeczeństwu. Mieliśmy w ostatnich czasach dość liczne przykłady, jak np. spekulacya budowlana, straty akcyonaryuszów kolejki Grójeckiej i t. d. Tymczasem powstają w kraju coraz liczniejsze spółki, stowarzyszenia, a ich uczestnicy pozostają w zupełnej nieświadomości warunków prawnych. Gdybyśmy zechcieli dokładnie zbadać przyczynę upadku lub zachwiania licznych

---

przed nikim, bo i pani, i znajoma jej szewczka Stacewiczka, już się tyle ucieszyły, że może to „omierzłe chłopisko przepadnie." Ona wie, że on nie jest, jak być powinien, ale kiedy mu ślubowała, to już trudno, wytrwać musi. Wołają teraz Wolentarską do prania, z jednej strony to i dobrze, bo przynajmniej porządnie zje, ale z drugiej — nie zarobi tyle, co chodząc z ciastkami.

— Radby człowiek — kończy — i to wziąć i tamtego nie puszczać. Jak kupują, to sobie zarobię i 75 kopiejek, a za pranie tylko 40 kop.

A pani nie przestaje podziwiać jej. Zawsze uśmiechnięta, choć ten uśmiech litość budzi, czyściutko, porządnie ubrana.

— Muszę—tłomaczy pani—pamiętać o sobie, trzeba chodzić czysto, bo któżby odemnie kupił.

Kosze nakrywa długiemi ręcznikami, sama je poznaczyła wielkiemi literami, zawsze wyprane czyściutko, wyprasowane porządnie; przyjemnie wziąć ciasto z takiego koszyka. Jak ona się martwi, gdy czasem ciastka niesmaczne.

Namawia cukiernika, żeby zawczasu szmalcu kupił, póki tańszy, toby pączki miał na czem smażyć, ale cukiernik wie dobrze, że choć zmiesza szmalec z łojem, to i takie pączki zjedzą, bo skąd wezmą lepszych?

Jaka ona jest delikatna.

— Nie śmiem—mówi—wejść do większych państwa, bo przecież to nie są takie ciastka, jak powinny być.

Swoją drogą zachęcić potrafi.

— Proszę pani, francuskie dziś się udały, ptysie wilgotne, tak jak pani lubi.

Gdy ma resztę wydawać, namawia, żeby lepiej ciasteczko dobrać, bo ona niema drobnych. Śmieje się przytem.

— Cóż robić—powiada,—jak mogę tak gadam, żeby aby państwo kupowali.

Od rubla zarobi zawsze 15 kopiejek. Przyjmuje i starzyznę, jeśli jej kto z litości ofiarnje.

— Już o chłopca jestem spokojna—mówi—bo „moja pani" go zawsze ubiera. Oj! żeby nie pani, toby nawet do kościoła niemiał w czem iść.

Więc naturalnie dostaje znów jakieś stare „porczęta", niepasujące buty; słowem, co dają—bierze.

A chłopak istny tatul! Robić mu się nie nie chce, tylko figle płata.

Listy z Ameryki przychodzą już nietylko od Leopolda! Piszą i siostry z wielkiem oburzeniem, poco takiego wałkonia przysłała im na kark!

— Odeślemy ci go z powrotem, kończą, bo nie nasza rzecz żywić go.

I przyjechał z podróży golutеńki, jak i pojechał; przywiózł żonie i dzieciom album do fotografii i kolorową papużkę.

Napili się wszyscy, nażartowali, ale Wolentarska jednak ucieszona wita darmozjada.

Nawet go tłomaczy przed obcymi. Chwali się, że za papużkę 6 rubli wzięli, ale w domu syczy na niego; szczególniej kiedy słucha opowiadań o taniości odzienia.

— A czemużeś dzieciakom nic przywiózł; nie lepiej to było kupić, niż album; co nam z niego przyjdzie, chybaby sprzedać!

(D. n.).

X. X.



przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych, przekonalibyśmy się, że znaczna ich liczba stanęła na pochyłości lub stoczyła się do przepaści z braku znajomości przepisów prawa, zwłaszcza administracyjnego. Braki te są tak dotkliwe i wielkie, że sprawę ich usunięcia należy zaliczyć do najpilniejszych. Można ku temu dążyć różnemi drogami. Przedewszystkiem trzeba starać się o wprowadzenie do szkół średnich prawnictwa, jako przedmiotu obowiązującego i ogólnie kształcącego. Należy zorganizować przystępne wykłady z tej dziedziny we wszystkich stowarzyszeniach naszych dla ich członków. Następnie pożądane są wydawnictwa podręczników i zakładanie możliwie największej liczby biur porady prawnej. Biura takie między innemi można byłoby stworzyć także przy różnych towarzystwach. P. Lange zalecał powołanie osobnej delegacyi handlowo-prawnej przy sekcyi handlowej, ale wniosek ten nie znalazł uznania jednomyślnego, gdyż właściwie sama sekcya powinna się zająć zorganizowaniem środków, ułatwiających szerzenie wiadomości prawnych. Delegacya byłaby zaledwie drobnym ułamkiem tej pracy. Bądź co bądź pożądane jest, ażeby wniosek p. Langego nie poszedł na wieczne czasy do ogólnego archiwum Towarzystwa przemysłu i handlu.

Biblioteka dla rzemieślników.

Sekcya rzemieślnicza, która w roku bieżącym ujawnia coraz większą żywotność, przed kilku dniami na ostatniem posiedzeniu podniosła sprawę utworzenia biblioteki dla rzemieślników. W tym celu postanowiono starać się u głównego zarządu Towarzystwa przemysłu i handlu o fundusz odpowiedni. Jest to inicyatywa wielkiej wagi. Obecnie w ogólnym księgozbiorze Towarzystwa istnieje także dział rzemieślniczy, ale bardzo skromny, nieodpowiadający istotnym potrzebom. Niema tam ani rysunków, ani książek, ani pism, z kórych rzemieślnicy mogliby odnieść istotną korzyść. Po wyjednaniu funduszu sekcya ma zamiar, za pośrednictwem delegacyi osobnej, już powołanej, zbadać potrzeby w tym zakresie wszystkich fachów rzemieślniczych u nas i stosownie do tego wzbogacić księgozbiór za pomocą pism i wydawnictw, ale jakich? Naturalnie zagranicznych, gdyż nasza literatura w tej dziedzinie jest bardzo uboga. Niestety, znaczna większość rzemieślników naszych nie zna wcale języków obcych, więc nie będzie mogła korzystać z tego nabytku. Otóż warto ażeby sekcya, posiadająca śród swych członków ludzi zamożnych, zawiązała spółkę wydawniczą, której zadaniem byłoby popularyzowanie w języku polskim najlepszych, najpożyteczniejszych dziełek, poświęconych różnym gałęziom rzemiosł. Biblioteka dla rzemieślników, zgodnie z ustawą, może mieć także czytelnię w lokalu Towarzystwa przemysłu i handlu. Należałoby również wytworzyć pewniejszy grunt dla *Gazety rzemieślniczej*, która dotychczas, w znacznej mierze z braku środków, nie odpowiada rzeczywistym potrzebom rzemiosł naszych. Na ogólnem zebraniu Kasy przemysłowców warszawskich p. Michalski, przewodniczący sekcyi rzemieślniczej prosił o przyznanie stałej zapomogi w kwocie 500 rb., która dotychczas była tylko doraźną. Zarząd Kasy odmówił jednak, tłomacząc się pilniejszemi potrzebami. Odmowa tak skromnej sumy dla wydawnictwa pożytecznego jest tem dziwniejszą, że Kasa przemysłowców, pomimo przesileń ekonomicznych, rozwija się świetnie i wypłaca swym członkom wcale niezłą (8%) dywidendę.



DZIEJOPISARSTWO POLSKIE W XIX W.

I

Wiek XIX był okresem wspaniałego rozkwitu nauk historycznych. Wiekowi XVIII, wiekowi filozofii racyonalistycznej „oświecenia," spoglądającemu na przeszłość dziejową z pewną pogardą, jako na stan ludzkości, pełen przesądów, fałszów i niedorzeczności, zbywało na dokładności, na jasności odczuwania i pojmowania stanów życiowych, które ludzkość już przebyła. Skutkiem tego brakło atmosferze umysłowej jednego z najważniejszych warunków, sprzyjających rozwojowi badań historycznych. Więc dziejopisarstwo nie mogło uczynić w w. XVIII znacznych postępów, a historycy nie mogli wyrobić sobie samodzielnych poglądów na zadania i metody swej nauki. Pod wpływem tradycyi, idącej od czasów humanizmu, uważano dzieła historyków greckich i rzymskich za najznakomitsze wzory, które należy tylko naśladować. W starożytności zaś historya była opowieścią artystyczną o czynach przedewszystkiem t. zw. bohaterów. Więc historycy w XVIII opowiadali życie królów i wodzów, interesowali się intrygami dworskiemi i dyplomatycznemi, zatargami i walkami pomiędzy państwami, a na życie ludu zaledwie słabą zwracali uwagę. Nasze społeczeństwo w. XVIII wskutek swego zacofania umysłowego nie mogło posiadać nauki samoistnej; gorzej jeszcze, bo dopiero od połowy wieku zaczęło odczuwać wogóle potrzebę wiedzy naukowej, którą musiało przyswajać sobie, ma się rozumieć, z Zachodu. W umysłowości naszej odbijały się tylko prądy, które społeczeństwo zachodnio-europejskie poruszały. Więc i w dziejopisarstwie naszem zapanował najpierw kierunek t. zw. klasyczny, t. j. ten, o którym wyżej była mowa.

Wiekopomne dzieło Naruszewicza, od którego teraźniejsze dziejopisarstwo polskie początki swoje wywodzi i którego uważają za założyciela osobnej szkoły historycznej, nosi tytuł *Historyi narodu polskiego*; nie jest ono jednakże historyą narodu, lecz historyą państwa lub raczej jego monarchów. Dzieje wewnętrzne kraju, jego stosunki społeczne i urządzenia obchodzą także historyka, nie są wszakże wplecione w wątek samego opowiadania, lecz mieszczą się w dopiskach. Wielki dziejopis pracę swoją doprowadził tylko do panowania Władysława Jagiełły. Nie było tedy dzieła, któreby obejmowało kompletne dzieje narodu, aż do upadku Rzeczypospolitej. Na ułożenie jego pokusiło się warszawskie Towarzystwo przyjaciół nauk, wydając w r. 1809 *Prospekt historyi narodu polskiego*, z wyłuszczeniem zasad, według których dzieło miało być opracowane; ale urzeczywistniono tylko nieznaczną część planu. Do upowszechnienia w społeczeństwie naszem wiedzy historycznej, zdobytej przez t. zw. szkołę Naruszewiczowską, przyczyniły się najbardziej *Śpiewy historyczne*, napisane z polecenia owego Towarzystwa przez J. U. Niemcewicza.

Pogłębienie badań historycznych nastąpiło w początkach XIX w. pod wpływem romantyzmu, ktory rozbudził w umysłach uwielbienie dla przeszłości. Odtąd przestano uważać ją za zbiór instytucyj niedorzecznych i przesądów fałszywych, za okres ciemnoty umysłowej, za co uchodziła ona w w. XVIII; owszem zaczęto wynosić ją przesadnie ponad teraźniejszość. Wtedy wytworzył się w dziejopisarstwie europejskiem kierunek, który usiłował wskrzesić czasy ubiegłe w całej mnogości i drobiazgowości najróżnorodniejszych objawów życia ludzkiego, przytem wskrzesić w obrazach literackich, artystycznie opracowanych (Thierry, Michelet i in.). Więc i podówczas, jak i dawniej, historya była opowieścią artystyczną o życiu minionem, z tą tylko różnicą — i ma się rozumieć, bardzo ważną, iż bohaterami jej stały się całe narody. Zarazem rozszerzył się widnokrąg zapatrywań na bieg życia ludzkiego, za sprawą współczesnych systemów filozoficznych. Od czasów Montesquieu'go i Voltaire'a zaczęto badać czynniki, pod których działaniem układa się i toczy życie dziejowe, usiłowano wniknąć w samą istotę jego. Badacze nie mogli już zadowolić się samem tylko opowiadaniem, chociażby i pragmatycznem, o losach narodu. Uwagę historyków zaczęły przyciągać coraz częściej i bardziej cywilizacye czasów minionych; tak powstały t. zw. historye kultury albo cywilizacyi.

Napomknienie to niech wystarczy za określenie tej atmosfery duchowej, w której ukształcił się umysł największego historyka naszego J. Lelewela, uważanego za twórcę drugiej szkoły w naszem dziejopisarstwie. Obeznany z poglądami historyozoficznymi Voltaire'a, Lessinga, Kanta, Fichtego, Schellinga i współczesnych sobie teoretyków historyi, Lelewel istotę życia dziejowego nader głęboko pojmował. Przedmiotem badania historycznego było dlań „działanie ludzkie w całej rozmaitości swojej, czyli kultura ludzka we wszystkich szczegółach."

Skutkami działalności ludzi są zdarzenia dziejowe, pomiędzy któremi zachodzi ścisły związek przyczynowy. Historyk może rozważać je z dwu punktów widzenia: ich współbytności i kolejnego po sobie następstwa. Tym sposobem historya sama przez się dzieli na dwie części: opisującą i opowiadającą.

Najważniejszym obowiązkiem historyka jest dochodzenie w dziejach ludzkich ich przyczyn i skutków, przyczem badacz powinien mieć wzgląd na miejsce, czas i wypadki. Przez miejsce Lelewel rozumie środkowisko, w którem żyje pewna społeczność ludzka, przez czas — stan jej w pewnej chwili dziejowej, przez wypadki— zmiany, zachodzące w środowisku. Współdziałanie owych czynników urabia człowieka historycznego i kształtuje związki społeczne. Historyk badać powinien najrozmaitsze objawy życia ludzkiego, więc: obyczaje, wyobrażenia, religię, oświatę, nauki, politykę, wojnę i t. p. A badania te będą owocne wtedy tylko, jeżeli badacz potrafi zrozumieć owe objawy, do czego dojdzie, jeżeli przygotuje się odpowiednio, przyswajając sobie wiadomości potrzebne z różnych dziedzin wiedzy. O tem Lelewel tak powiada: „Poznawanie filozofii, antropologii, towarzyskich porządków zasad, języków, chronologii i geografii, matematyczno-fizycznych i tym podobnych wiadomości, toruje drogę do ćwiczenia się w historyi." Nadto, dla rozpoznania prawdy, historyk musi uzbroić się, nim przystąpi do badania, w rynsztunek metod, które wskaże mu krytyka historyczna. Zasady te Lelewel w swojej działalności naukowej wiernie i pilnie stosował. O jego olbrzymiej erudycyi świadczą jego dzieła z różnych dziedzin umiejętności historycznych: bibliografii, archeologii, numizmatyki, geografii, krytyki historycznej, historyi powszechnej i polskiej, przyczem oddał nauce zasługi nieoszacowane. Jego dzieła stanowią i dotychczas skarbnicę nieprzebraną wiadomości, pożytecznych dla historyków dziejów nietylko ojczystych, lecz i powszechnych.

Lelewel dał nam pierwszą syntezę naszego życia dziejowego („Uwagi nad dzie-

jami Polski i ludu jej"), która trafnością spostrzeżeń i głębokością rozumienia procesu historycznego przewyższa— rzec można — wszystko, co po dziś dzień w naszem dziejopisarstwie istnieje, jakkolwiek wiele poglądów Lelewela nie może już się ostać wobec nowszych badań, opartych na obfitych materyałach źródłowych, których wielki historyk przy swych dochodzeniach nie miał pod ręką, a którymi dzisiejsi badacze rozporządzają.

Cały przebieg dziejów polskich do upadku Rzeczypospolitej Lelewel dzieli na cztery okresy: 1) samowładztwa, tj. okres potężnej władzy monarszej (360—1139); 2) możnowładztwa (1139—1374); 3) gminowładztwa szlachty (1374—1607) i 4) gminowładztwa szlacheckiego w zawichrzeniu (1607—1795). Jeżeli zwrócimy uwagę na mniejsze podziały tych okresów, na zaznaczenie przez historyka takich momentów dziejowych, jak np. ustawodawstwo nieszawskie, sejm w Radomiu (1505), rokosz Zebrzydowskiego, będziemy musieli uznać, iż najważniejsze formy przekształceń ustroju polityczno-społecznego Polski były wskazane bardzo trafnie. Zarzuca się zwykle Lelewelowi, iż upadek Rzeczypospolitej tłomaczy z góry powziętą ideą, mianowicie tę, że pod koniec swego bytu Polska dopuściła się odstępstwa od zasad demokratycznych, które stanowiły podwalinę jej życia pierwotnego, lecz się nie wskazuje, że głęboki badacz, rozważając przyczyny, dla których zawichrzyło się gminowładztwo szlacheckie, tj. właściwe przyczyny rozstroju Rzeczypospolitej szlacheckiej, brał w rachubę takie czynniki, jak charakter narodu, waśnie religijne skutkiem fanatyzmu, przewagę społeczną arystokracyi, wyłączny duch stanu, stosowanie opaczne *liberum veto*, domowe zamieszki skutkiem konfederacyi, ucisk ludu itp. Gdyby krytycy poglądów Lelewela (np. Bobrzyński) pilniej się nad tem wszystkiem zastanowili, przekonaliby się chyba, że i t. zw. dzisiejsza nowa szkoła historyczna, której udoskonalone metody badania jej właśni rzecznicy wychwalają chełpliwie z wielką przesadą, nic nam nowego, oryginalnego o upadku Rzeczypospolitej nie powiedziała.

Co się zaś tyczy tendencyjności Lelewela, to pod tym względem tej dzisiejszej szkole nie zawadziłoby swe własne grzechy rozważyć i policzyć, a wypadkowa tego obrachunku nie byłaby chyba tak pomyślną dla niej, jak dla Lelewela.

Wielki historyk rozbudził potężny ruch we wszystkich dziedzinach dziejopisarstwa naszego. Ukazały się wtedy dzieła, które i dotychczas nie straciły swej wartości naukowej. Wymienić tu możemy tylko niektóre, jak np. Hoffmana „Obraz rządu i prawodawstwa dawnej Polski" (Przegląd Poznański t. V i VI), Wiszniewskiego „Historya literatury polskiej" (t. 10), Łukaszewicza „Historya szkół w Koronie i W. Ks. Litewskiem do r. 1794" (t. 4) i in.

Z historyków, zaliczanych do szkoły Lelewela, największą sławę pozyskał K. Szajnocha. Sam Lelewel, jako umysł krytyczny, zwięźle i w formie abstrakcyjnej swe myśli wyrażający, nie posiadał zdolności artystycznego odtwarzania życia minionego, gdy tymczasem Szajnocha celuje tym darem w naszem piśmiennictwie historycznem i dotychczas. Jego dzieła („Szkice historyczne," „Jadwiga i Jagiełło," „Dwa lata dziejów naszych") dorównywają pod względem opracowania artystycznego najznakomitszym utworom takich historyków-malarzy, jak Thierry i Macaulay.

Witold Nowodworski.

ODCZYTY.

Dr. Aleksander Fabian: *Mechanizm i organizm.*

Czy organizm zwierzęcy i roślinny jest mechanizmem? Czy można wszystkie jego funkcye sprowadzić do praw, jakie kierują przejawami natury martwej, nieorganicznej. Czy życie można objaśnić na zasadzie ruchu atomów, jak zjawiska fizyczne i chemiczne?

Wielokąt ma tysiące punktów stycznych z kołem, które się w nim znajduje, a jednak go nie pokrywa, jednak pozostaje pewna reszta, choćbyśmy do nieskończoności zwiększali ilość boków wielokątu. Tak samo rzecz się ma z mechanizmem i organizmem, z mechaniką i biologią. Niepodobna zaprzeczyć, że fizyka i chemia oddały nauce o życiu usługi wielokrotne i poważne, że pozwoliły nam wyrozumieć niejedno tajemnicze zjawisko biologiczne; istoty życia jednak dotąd objaśnić nie zdołały: pozostaje zawsze niewyjaśnioną ta reszta organiczna, która stanowi charakterystyczną cechę tworów żywych.

Nie znaczy to wszakże, ażebyśmy się mieli wyrzec fizykalnych metod badania w biologii, odsądzili od czci i wiary teoryę mechanistyczną dlatego, że nie objaśnia nam wszystkiego, i padli w objęcia nauce o sile życiowej, która odżyła w współczesnej biologii pod postacią neowitalizmu.

Powinniśmy dalej kroczyć po wielce owocnej drodze badań ścisłych, a przyjdzie, być może, czas, kiedy nawet biologia doczeka się swego Newtona. Oto oś, dokoła której snuł prelegent swoje wywody.

Snuł je wprawdzie trochę za rozwlekle, często się powtarzał, ale ze względu na interesujący temat i wytworną szatę odczytu, słuchało się go z przyjemnością. Szkoda tylko, że zbyt po macoszemu potraktował neowitalistów, i nie wyjaśnił słuchaczom ich odmiennego stanowiska w stosunku do witalistów starego autoramentu.

Dr. M. B.

NOTATKI NAUKOWE.

Głos członka akademii J. Baudouina de Courtenay w sprawie słownictwa chemicznego. Kraków. Nakładem akademii Umiejętności. 1900.— S. K.: *Materyały do odczytów ludowych. W naturze nic nie ginie.* Warszawa, 1900.

Załatwienie sprawy terminologii chemicznej należy, zdaniem autora, wyłącznie do chemików, i jedynie interesy chemii powinno się mieć na względzie przy formułowaniu ostatecznych postanowień. Filolodzy i lingwiści mogą mieć tylko głos doradczy. Wychodząc z założenia, że od terminologii naukowej wymagać należy przedewszystkiem jasności, przejrzystości i określoności, prof Baudouin każe zwrócić wszystkie usiłowania ku osiągnięciu tych właśnie zalet, mniej zaś troszczyć się o wymagania estetyki, „eufonii," „ducha języka" i innych t. p. „śliczności."

Tym „ślicznościom" poświęcona jest znaczna część broszury, w ktorej autor wykazuje, ile różnych „widzi mi się" kryje się pod tymi nieokreślonymi terminami. Ośmieszona jest także mania spolszczania *quand meme* cudzoziemskich terminów naukowych.

Referat, pisany z właściwem autorowi zacięciem polemicznem, czyta się, jak zajmująca powieść, a całe szeregi rozumowań wpijają się same w mózg myślącego czytelnika. Nie znaczy to wcale, żebyśmy się mieli godzić na wszystkie wywody sz. profesora, ale zarzutów, jakieby można postawić, niepodobna umotywować w pobieżnej wzmiance.

Jak łatwo się domyśleć, książeczka p. S. K. p. t. „W naturze nic nie ginie," poświęcona jest sformułowaniu i wyjaśnieniu zasad: zachowania materyi i energii. O *dobrej* popularnej książce, podobnie jak o niewieście cnotliwej, mało bywa zwykle do powiedzenia; w danym wypadku należy jeszcze dodać, że jest to książka nietylko dobra, ale bardzo dobra, wyborna, że w niej na każdym kroku znać pióro wytrawnego popularyzatora. Kilka mniej szczęśliwych wyrażeń lub mniej zręcznie ułożonych ustępów nie może obniżyć wartości tego doskonałego dziełka, które, mimo że jest przeznaczone dla ludu, z korzyścią mogłaby przeczytać niejedna panna, latami całemi pobierająca lekcye fizyki od renomowanych profesorów.

St. Bouffałł.

— Jako uzupełnienie szkicu o rozwoju medycyny w XIX w., zamieszczonego w numerze jubileuszowym, podajemy kilka ciekawych cyfr statystycznych, wyjętych z świeżo wydanej broszurki dr. Meyera: *Die sociale Bedeutung der Medizin.*

W Szkocyi od r. 1855 do 1863 na milion mieszkańców było *321* wypadków śmierci wskutek ospy; w latach od 1864—1887, kiedy wprowadzono obowiązkowe szczepienie dla wszystkich dzieci mniej niż 6 miesięcy życia liczących, liczba wspomniana spada do *108.* W Szwecyi od 1774—1801 r. zdarzyło się *2050* wypadków śmierci po ospie na milion mieszkańców; po zaprowadzeniu obowiązkowego szczepienia liczba ta spada do *158.*

Najbardziej pouczającemi są cyfry odnośne co do Prus, gdzie od 1816—1870 r. na 100,000 mieszkańców umierało od 7,32—61,00; od 1874 r. (rok wydania przepisów o szczepieniu) do 1884 r. śmiertelność waha się pomiędzy 0,34 a 3,64.

Co się tyczy skuteczności środków zapobiegawczych w innych chorobach, następujące cyfry stanowią w tym względzie dosadną ilustracyę.

Od 1875 do 1894 r. śmiertelność kobiet w Prusach wskutek gorączki połogowej zmniejszyła się dzięki zabiegom aseptycznym z 5,57 do 2,9 (na 1000 żyjących), czyli innemi słowy umiera teraz rocznie w przybliżeniu o 2,500 położnic mniej, niż przed 20 laty.

Następujące cyfry wykazują, jaką doniosłość posiada metoda aseptyczna w chirurgii.

Na 100 osób, przyjmowanych do szpitali z poniżej wymienionemi chorobami umierało w Prusach:

	od r. 1877—79	1889—91
Na choroby kości i stawów	4,4	2,7
Zapalenia tkanek	4,3	1,9
Urazy	3,6	2,7
Ruptury	21	15
Kamienie (żółciowe, nerkowe)	17	12,6
Chor. dróg moczow. i płciow. .	12	7

Śmiertelność wskutek gruźlicy, tej strasznej klęski społeczeństw dzisiejszych, zmniejszyła się znacznie w ciągu ostatnich 20—25 lat dzięki rozmaitym zarządzeniom sanitarnym, a głównie dzięki zakładaniu odpowiednich sanatoryów. Oto cyfry tyczące się Prus.

Na 1000 żyjących umierało w Prusach na suchoty:

rok	osób
1870—74	31,1
1875—79	25,6
1880—84	25,3
1885—89	24,2
1890—94	23,3

I w innych chorobach zakaźnych konstatujemy zmniejszenie się śmiertelności. Tu znów, jako przykład, posłużyć mogą Prusy.

Na 10,000 żyjących umierało tam:

rok	na tyfus	na dysenteryę
1875—79	6,17	1,63
1880—94	4,90	1,59
1885—89	2,78	0,45
1890—94	1,86	0,32

Wogóle od r. 1875 wykazują Prusy zmniejszoną śmiertelność. Rocznie umiera tam obecnie o 70,000 ludzi mniej w porównaniu z rokiem 1875.

(b.)

LITERATURA I SZTUKA.

Z DZIEJÓW KRYTYKI POLSKIEJ.

Julian Klaczko.

III.

Wobec tak surowego sądu o całej owczesnej literaturze, nie mogą już dziwić lekceważące lub potępiające zdania Klaczki o twórczości Pola, Syrokomli, Lenartowicza, Korzeniowskiego, J. I. Kraszewskiego, Chodźki, Odyńca. Nie będę ich tu przytaczał; muszę jednak uwydatnić choć parę szczegółowszych spostrzeżeń, odnoszących się do ogółu pisarskich pomysłów i form artystycznych.

Raziła Klaczkę w ówczesnych utworach nadmierna dbałość o tak zwany koloryt lokalny, dbałość, która „zebrawszy skrzętnie archelogiczne szczegółki i drobiazgi, kostiumy, maski i sposoby mówienia z pewnej epoki, dobrodusznie myśli, że już tem samem ułożyła obraz historyczny.“ Odróżniał on w poetycznem odtworzeniu przeszłości dwojakiego rodzaju prawdę i wierność: jedną „materyalną, mechaniczną,“ która „w gruncie bardzo małej albo żadnej jest wagi“; drugą „moralną, duchową, żywotną,“ która rzeczywistą i jedyną stanowi wielkość i wierność kreacyi.“ Pierwszą może, zdaniem Klaczki, pochwycić każdy, „a dzięki szczególnie tak teraz upowszechnionym i licznym encyklopedyom, słownikom i podręcznikom, uchwyci ją nawet bez wielkiego trudu i zachodu,“ drugą zaś „odgadnie i ukształci tylko potęga geniuszu, natchnienie mistrza, intuicya wysokiego umysłu.“ O pierwszą też „mało dbali, bardzo nizką, nawet zbyteczną ją być mienili i nieraz wprost z niej urągali się wielcy słowa mistrzowie;“ drugą natomiast „w najwyższej zachowali świętości i jej głównie swoją zawdzięczają nieśmiertelność.“ Twierdzenie to poparł powołaniem się na anachronizmy Eschilosa i Szekspira; przyznaje wprawdzie, że dzisiaj już takie niedbanie o koloryt miejsca i czasu nie uchodzi, ale mniema, i słusznie, że druga, owa wewnętrzna prawda nieporównanie większe ma znaczenie psychologiczne i artystyczne od pierwszej, zewnętrznej, materyalnej.

Raziło również naszego krytyka rozpowszechnienie się romansu, który „był zawsze objawem i dowodem wycieńczającej się wyobraźni, usychającego natchnienia, i rozbudzonej żądzy zabaw w miejsce dawnej poważnej potrzeby ideału.“ I tu także jak wszędzie, Klaczko w imię zasad moralnych i narodowych potępia ten rodzaj literatury, gdyż przykłady w nim dawane, ideały w nich sławione uważa za niebezpieczne i szkodliwe, dlatego, że są przystępne dla wszystkich. „Epopeja, tragedya — mówi on — tworzą nietylko ludzi idealnych, ale i sferę idealną, którą ich od nas zbawiennie oddzielają, budzą w nas szlachetne uczucia podziwu, uwielbienia, nie wywołują chęci złego naśladownictwa. Romans, przeciwnie, na gruncie domowego życia, powszedniem otoczeniu, wyprowadza figury wpółpoetyczne, wpółrealne, tak zwodnicze właśnie — dla wpółukształconych. Któż kiedy spotkał się w życiu z Makbetem lub Learem; a jakże często ujrzymy dobrowolne, a nieszczęśliwe kopie bohaterów Sanda i Balzaka! Cóż dopiero, jeśli romans, jak u nas, staje się wyłącznym i powszednim chlebem czytającej powszechności, absorbuje wszystkie talenty i jedyny prawie głos publiczny zabiera?..“

Takie i tym podobne uwagi i przestrogi wygłaszał Klaczko przez lat cztery, stojąc na straży sumienia narodowego, wiele rozumnych wypowiadając myśli, ale rzadko się zapuszczając w czysto artystyczne szczegóły. Słowa jego pełne siły, a nieraz żrącego dowcipu, ułożone z wielkiem staraniem i wielką dbałością o efekt. Klaczko bowiem był pierwszym naszym prozaikiem XIX wieku, co nietylko z natury miał dar stylu niepospolity, ale się także starał o najpiękniejsze jego wyrobienie. Mochnacki pisał dzielnie, zamaszyście, lecz się nie zagłębiał w tajniki stylowe; Klaczko przeciwnie, jakby się wciąż wsłuchiwał we własne frazesy i lubował się ich dźwięcznością, ich okrągłością i zwrotnością. Styl swój kształcił starannie na wielkich poetach naszych: Mickiewiczu, Słowackim, Malczewskim, Krasińskim: żaden z pisarzy naszych nie posługuje się w tym jak on stopniu słowami i wyrażeniami tych mistrzów. To też dykcya jego ma zawsze cechy wielkości, wspaniałości, artystycznego wykończenia. Ma też jeszcze jedną właściwość, przejętą może od Francuzów, a może tkwiącą w rasowych głębiach — nadzwyczaj częste igranie, słowami, czy to podobnemi z brzmienia, i znaczenia, czy też przeciwstawnemi sobie („winniśmy przemówić za *oniemionych* i *oniemiałych*“; „wyobraźnia *dopełnić*, ale rzeczywistość *spełnić* nie mogła;“ „z *zapalną* imaginacyą pod *palącem* niebem, z *wyostrzonymi zmysłami* śród ostrych ponęt; w otoczeniu *ciał* tak *pięknych* i *piękności* tak *cielesnych*“ itp. itp.). Ustawicznemi ćwiczeniami i udoskonaleniami doprowadził on styl swój do nadzwyczajnej świetności, ale nie potrafił mu nigdy nadać ciepła, tak jak języka nie zdołał nigdy opanować w subtelniejszych jego tajniach, zwłaszcza w użyciu czasowników dokonanych lub niedokonanych.

Krytyki Klaczki wywierały wielkie wrażenie, ale donioślejszego wpływu na społeczeństwo nie okazały. Dlaczego? Pomimo podejmowania tematów niesłychanie ważnych, pomimo rozumnych myśli, pomimo czarodziejstwa stylu, nie mogły one opanować całej duszy, naprzód dla owego braku ciepła serdecznego, a powtóre dla wielkiej przesady w sądach. Choćby się przyznało największe zalety rozprawie o „Sztuce polskiej,“ jeszcze trudnoby się było zgodzić na bezwzględne orzeczenie, jakoby u nas nie mogła się narodzić „jakaś narodowa szkoła w sztuce,“ a trzymanie zakładu przez śmiałego autora,“ „choćby i do greckich kalend“ nie budziło zaufania; jakoż rzeczywistość bardzo rychło zaprzeczyła temu twierdzeniu. Sponiewieranie Korzeniowskiego za tendencyę „Krewnych“ nie mogło przemówić do przekonania nietylko tych, co znali autora „Karpackich górali“ osobiście, ale i tych również, co beznamiętniej na treść i dążność powieści patrzyli. Lekceważące zdanie o Lenartowiczu wogóle, o jego „Gladyatorach“ w szczególności mogło było umiarkować nadmierne pochwały, oddawane lirnikowi mazowieckiemu, gdyby krytyk nie był zastosował zbyt wielkiej miary do dzieła bezpretensyonalnego i gdyby nie alarmował niepotrzebnie ludzi widmem jakiegoś strachu. Odprawa, dana „Odstępcom,“ była zasłużoną; dziś to czujemy lepiej, aniżeli dawniej; zagłuszyły ją atoli wypadki. Ostatnia wreszcie literacka praca Klaczki w języku polskim ogłoszona, najobszerniejsza i stosunkowo najspokojniejsza, o „Korespondencyi Mickiewicza,“ bardzo mało znalazła rozpowszechnienia, gdyż zjawiła się w czasie, kiedy zaczęto myśleć zgoła o czem innem. Krytyczna działalność Klaczki wywarła wpływ na jednostki tylko, a między niemi największy na Stanisława Tarnowskiego, mianowicie w początkach jego zawodu.

Od r. 1862 Klaczko zaczął pisać prawie wyłącznie po francusku, gdyż w języku polskim ogłosił tylko w r. 1871 „Notatki z podróży,“ zawierające przepowiednię, dotychczas niesprawdzoną, iż rzeczpospolita we Francyi utrzymać się nie może. W języku francuskim natomiast wydrukował dużo artykułów i dzieł, które mu zapewniły wielki rozgłos za granicą. Przeważna część utworów ma charakter polityczny, nie należy więc do zakresu mojej pracy. Literatury polskiej dotyczą dwa artykuły, jeden w *Revue des deux mondes* p. t. „La poésie polonaise au dix-neuviemo siècle et le poete anonyme“; drugi w *Revue contemporaine* p. t. „Etude sur Adam Mickiewicz: La Crimée poétique.“ Tego drugiego nie znam; pierwszy zaś jest świetnie skreśloną charakterystyką Zygmunta Krasińskiego, charakterystyką przedstawiającą oczywiście dodatnie tylko strony jego życia i twórczości, z pewnem nawet poniżeniem Juliusza Słowackiego z powodu znanego wiersza „Do autora trzech psalmów.“ Klaczko rzucił w tym zarysie paradoksalne zdanie, powtarzane później niewolniczo przez długie lata, jakoby twórczość Krasińskiego, wbrew zwykłym przejawom u innych poetów, rozwijała się w sposób *zstępujący* (*la marche en quelque sorte descedante*) do zagadnień powszechnych, obejmujących całą ludzkość, do kwestyj narodowych i psychologicznych. Dzisiaj wiemy bardzo dobrze, że tak nie było. Krasiński zaczął od powiastek historycznych, rozgrywających się w pewnem określonem miejscu i czasie, a dopiero później przeszedł do zagadnień ogólnych w „Nieboskiej komedyi.“ Rozwój jego umysłu był szybszy, niż u innych naszych poetów, lecz szedł po linii *wstępującej*, jak i u nich. Ale pomijając ten paradoks, znajdziemy w rozprawie Klaczki znakomite rozbiory głównych utworów Krasińskiego, na rozległem tle literackiem i społecznem przedstawione. Zauważyć jednak muszę, że i tu spostrzeżeń ściśle estetycznych jest niewiele.

Dopiero w czasach najnowszych pofolgował Klaczko przyrodzonemu usposobieniu swojemu, nieskrępowanemu już żadnymi względami na okoliczności i potrzeby; pisał bowiem dla całego świata cywilizowanego, czytającego po francusku, o sztuce i sztukmistrzach. Dwie jego prace w tym kierunku ogłoszone: „Causeries florentines“ („Wieczory florenckie“ w przekładzie polskim Stanisława Tarnowskiego), „Rome et la renaissance“ („Rzym i Odrodzenie: Juliusz II,“ w przekładzie Antoniny Morżkowskiej) są dziełami rozległego oczytania, wielkiego znawstwa sztuki, subtelnego psychologa, wytwornego estety i błyskotliwego stylisty. Wniknięcie w epoki przedstawiane, a szczególnie w wiek Odrodzenia, wczucie się w dusze artystów, umiejętność odmalowania swoich wrażeń w sposób pociągający, zdolność do szerokich a nieraz i głębokich uogólnień: to są cechy tych utworów, dających się czytać jak powieść i nauczających więcej, niż gruba księga erudyta. Czy one wnoszą do badań krytycznych nad Michałem Aniołem i nad sztuką wogóle wiele nowych, nieznanych a udowodnionych prawd, nie moją rzeczą oceniać; stwierdzić tylko mogę, iż je przyjęto z wysokiem uznaniem.

Przestrogą, zwróconą przez Klaczkę do krytyków dzisiejszych, zakończę ten szkic ułamkowy o jego działalności, gdyż w niej mieści się i dla mnie pewne usprawiedliwienie: „Krytyka wpada w wielki błąd i w zły bardzo zwyczaj, kiedy żąda od poetów aktów i dokumentów legitymacyjnych na każdy ich pomysł i natchnienie i kiedy się raduje i chlubi, jeżeli którego z nich złapie na gorącym uczynku anachronizmu i wykaże sprzeczność między wierszami a dokumentami i datami. Krytyka w takich razach zapomina poprostu o tem, że sztuka nietylko nic na tem nie traci, ale zyskuje owszem, bo oko duszy ma także swoje optyczne wymagania i warunki

i potrzebuje pewnej odległości, żeby całość objąć mogło...“

P. Chmielowski.

POEZYA I RYMY.

Leo Belmont: *Rymy i rytmy*. Wybór poezyi. 3 tomy. Warszawa, 1900.

II.

Dopatrzywszy się pilniej, dostrzeżemy, że wyobraźnia poety zakreśla linie koliste. Nie jest to jednak działanie zaciskającej się śruby, lecz niekończony obrót kółka, którego zęby się starły i ze sprężyny się ześlizgują. Ośrodkiem pobudliwości nadmiernej i męczącej jest jakiś punkt, w którym spoczywa obawa i poczucie nieprzydatności i niemocy, niekoniecznie autorskiej, obawa i poczucie, wypowiadające się bolesnymi niekiedy tonami. „Los mnie zapisał w życiowej księdze, na marginesie. Gdy swym porywom chcę czynić zadość, coś mnie odpycha zuchwałym gestem, usuwa na bok i w próżnię niesie, tam gdzie ból wielki, gdzie wielka radość, nigdy wśród tekstu, lecz zawsze jestem na marginesie... Oto mi dola: schodzić na stronę, lub nieść bezpłodnie swej pracy skrzętność...“ Ten dręczący niepokój autor pokrywa nieraz udanym śmiechem, żartem lekceważenia. „Milion ruchów robiłem już ręką... Już i rękę składałem na sercu, i ku niebu wznosiłem już pięść, i nerwowo splatałem już palce, i wpijałem paznogcie już w dłoń, i garściami chwytałem za włosy, *chcąc w łysinę ozdobić swą skroń.*“ Stan to przykry, męczący i bezpłodny, jeżeli rozkładającej sile zwątpienia nie przeciwstawia się jakaś inna siła, działająca w dodatnim kierunku, a prowadząca tam, „gdzie ból wielki i wielka radość,“ siła ukochania czegoś, przejęcia się czemś...“ Czy taką dodatnią potęgę zawiera w sobie poezya p. L. B.? W odpowiedzi na to słyszymy znowu ten sam jęk. „Nie zachowałem w życia niedoli poczucia siły, poczucia woli, poczucia myśli, uczuć poczucia. Powoli — piękno wygasa we mnie, powoli — grzęznę w życiowem błocie; już dla dobrego nie drżę tajemnie... i wyobraźnia, ta boska siła, teraz się stała jakaś obłudna... znalazłszy skrzydła, wnet je straciła...“ „Słyszę *ranionej dumy mej* wycie, w parodyę uczuć wpadam uczuciem, w bezmyślnych myślach myślą się grzebię...“ Posępny ten egotyzm, nie rozjaśniony promykiem wiary, zamknięty w kole trawienia się powolnego, lecz nie wybuchający gwałtownym okrzykiem, nie wiążę się z jakiemiś określonemi zjawiskami, któreby wchodziły w duszę poety, indywidualnie uczute i ujęte, i rozrastałyby się tam w drzewa dantejskie, broczące krwią i odzywające się upiorowym głosem. Stąd jakaś dziwna bezprzedmiotowość tego ciągłego szamotania się. Chcielibyśmy zapytać: dokąd dążysz? Jakiż cel masz przed sobą, którego osiągnąć nie możesz? Nie pytajmy atoli, bo ujemność jest piętnem tej poezyi. W pomieszczonym na wstępie wierszu zapewnia nas, iż *nie jest* współczesnym epikiem, gdyż nie okrada z metafor Homera; że *nie jest* współczesnym lirykiem, gdyż górnych frazesów nie używa; „*nie* małpowałem (!) również dekadentów, mgłą *nie* okrywałem moich myśli gwałtem“ itd. I za to krytyk (który u p. L. B. wszędzie się kręci) krzyknie mu swe: *veto!* Potrącając o zagadnienia etyczno-estetyczne, autor występuje widocznie przeciw znanej teoryi poetyckiej A. Langego, „powszechnej spowiedzi.“ „Kto żąda spowiedzi, niech w niszy swej duszy stawia konfesyonał, niech tam lampkę zapala i skruszony siedzi, i niech mniema, że wielkich rzeczy dokonał... Słowo rodzi zgniliznę, zbawia czyn jedynie.“ Nigdy mię nie zachwycało objawienie p. Langego, zgoda zatem całem sercem. Lecz gdzież *czyn?* Stanowczo p. B. do dekadentów nie należy. Oto słuchajcie: „Machnąć ręką na walkę stuleci mozolną... i sennem wodzić okiem po świecie — czy wolno?“ Ależ broń Boże, nie wolno!.. Wtem spostrzegamy, że to znowu tylko polemika, a gdzież „walka stuleci“? Zejdźmy na teren ciaśniejszy, osobisty. „Uczucia moje — to *nie cieplarnia* dla marnych kwiatów... To *nie jest* raz zakreślone krótkim promieniem, *nie* łzawe dziecię, łzami zroszone...“ itd. Ależ dość już tych *nie!* Gdzież jest *tak?* Może w uniesieniach miłosnych?

Wiersze erotyczne zabierają sporą część drugiego tomu i tworzą cały poemat, wielce w swym toku jednostajny. Tu i owdzie wadzi nam wyraz uczucia w formie swej „prosty,“ że aż prozaiczny. Kochanek np. gromi kochankę: „Więc dzisiaj prawo powiedzieć mam, że ty z natury jesteś, *jak drewno.*“ To znowu ona „do niego,“ zabłąkanego wśród Alp, rzuca tęskny głos: „Odkryj (?), że łzy me tak samo się sączą, odkąd zostawiasz mnie w smutku i grozie; na szczycie góry, *przejęty ogromnie*, pomyśl ze wstydem o mojej katuszy“ itd. Gdyby przecież usunąć podobne zwroty, nie nadałoby to barwy świeżości, więc i uroku cyklowi miłosnych śpiewów p. Belmonta. „Więc moją miłość zdeptałaś bezmyślna, płocha istotko! Gwar balów przeniosłaś nad nią i komplementów woń słodką. Nudzą cię moje wyznania i smutek twarzy mej blady, ty wolisz twarze rumiane i śmiech pustaczej biesiady! W chwili, gdy słowa te piszę i gdy tak cierpię ogromnie (ach!), ty pewnie tańczysz kadryla i zapomniałaś już o mnie! Wybuchasz swawolnym śmiechem, tancerz porywa cię wkoło; ach, mnie tak smutno bez ciebie, tobie — beze mnie wesoło.“ Ileż to razy tę samą myśl tu powtórzono, a myśl tak niezajmującą!

Widzieliśmy, jak p. L. B. łzy roni; spojrzmy, jak się śmieje. W nutę satyry autor uderzać lubi i rad żarcikami sypie. Niektóre z nich należą do tej kategoryi, co Zagórskiego: „Nasz praszczur Noe świętym był.“ Ale parodya, choćby najzręczniejsza, może być tylko zabawką. Satyra i żart p. B. naogół odznaczają się rozwlekłością, jak i cała jego poezya, a godzą często w cel, znajdujący się zbyt nizko. „Zmarzlucha“ poeta przestrzega, że potomkom będzie o wiele zimniej pod stygnącem słońcem. „Jakkolwiek źle jest, dobry Bóg gorzej urządzić nas może.“ Nieźle byłoby rozwinąć to w ośmiu wierszach, lecz nie w kilkunastu przecież zwrotkach! Gdzieindziej na dziesięciu stronach operetka jest przedstawiona z „filozoficznego“ punktu widzenia.“ Żarcik przydługi i cel zamały. A przedewszystkiem, po co on w lirycznej spowiedzi p. Belmonta? O niewybredności jego satyry da nam pojęcie opowieść o Dyogenesie. Przechodził przez plac w Atenach syn kurtyzany i przechwalał się bogactwami swej matki. Ciżba się z niego wyśmiewa; chłopiec, uniesiony gniewem, ciska kamień w tłumy. A Dyogenes przestrzega go: „Ostrożnie, młody chłopaku, bo w *ojca* trafisz przypadkiem.“ Takich żartownisiów jest sporo wszędzie, lecz są oni bezimienni. A może to symbol?

Gdyby p. L. B. zmniejszył swój „wybór“ do czwartej, dajmy na to, lub piątej części jego teraźniejszej objętości, poetą by się przez to nie stał, ale uwydatniłby potrafił te tony, które mogą nas przyjaźnie dlań usposobić. Najpiękniejsze, a nawet piękne niekiedy są np. jego utwory, na motywach biblijnych osnute. Wyczuwać się tu daje ukochanie tych opowieści, a to zawsze podbija. Przechadzki z muzą nie zawsze były bezowocne. Oto plon jednej z nich, podany w ulubionych autorowi heksametrach (które niepotrzebnie zresztą każe siekać na sześć kawałków): „Błądząc w noc przez ulice i gwiazdy na niebie badając, patrząc na domy i ludzi, częstokroć rozmyślam posępnie: przejdą lata i lata; jednako lśnić będą gwiazdy, przetrwa niejeden z tych domów, lecz żaden z tych ludzi nie przetrwa. Snuć będzie lud po ulicach, lecz obcy mi lud i nieznany!..“ To nie nowy wariant na odwieczny temat, to znikomość rzeczy ludzkich widomie stanęła przed poetą i dreszczem grozy go wstrząsnęła. I oto dlatego dreszcz ten i nam się udziela. Gdzieindziej, widząc „człowieka,“ z trwogą kroczącego w nieznaną ciemność przed sobą, autor krzepi go rozmyślaniem: „Lecz wszak nie byłeś i wczora, za tobą też wieczna noc. Więc drwij w godzinie wieczora, i ducha zachowaj moc. A idąc po wąskiej kładce w pośrodku tych nocy dwuch... dla tych, co jutro tu będą, świetlisty pozostaw ślad.“ To ładne, bo przeczute. I jeszcze, i jeszcze tu i owdzie dostrzeżemy taką iskierkę. Dlaczegóż jednak tak mało baczyliśmy na nie? Bo są odosobnione, bo nie spływają ze smugą ognistą, pod której wrażeniem powiedzieć byśmy mogli: oto jest nabytek nasz!

Trzeciemu tomowi „Rymów i rytmów“ p. L. B., zawierającemu przekłady, możemy poświęcić niewielką tylko wzmiankę. Uczynimy mu przedewszystkiem ten ogólny zarzut, iż jest zbyt encyklopedyczny. Spotykamy tu tłomaczenia z trzech języków słowiańskich, dwu starożytnych,“ a nadto z francuskiego, angielskiego, niemieckiego. Istotny nabytek dla piśmiennictwa stanowiłyby przekłady jakichś całości, czy to większych utworów, czy drobniejszych wierszy obranego poety. Autor dał nam w dobrem spolszczeniu dwie pieśni z „Homunculusa“ Hammerlinga; czemuż raczej nie wszystko? Natomiast jaki jest cel podawania urywków z „Eugeniusza Oniegina“ lub „Borysa Godunowa,“ po co nam odosobniony wierszyk tego lub owego poety, wierszyk, który twórcy swego żadną miarą charakteryzować nie może? U p. L. B. wszystko się znajdzie i dlatego właśnie nikt nie może upędzać się w jego tomie za jaką zwrotką Burnsa, czy Lenau'a, czy Szewczenki... Co do wyboru, niejedno w podziw nas wprawi. Co komu powie żarcik Meilhaca, którego treścią jest pisanie sonetu i przykładanie rymu do rymu? Posiadamy zresztą o wiele zręczniejszy sonet Czesława. (Wzorem tej sztuczki może być układanie t. z. balady francuskiej przez Cyrano de Bergeraca, podczas pojedynku). Albo znowu niepodobna odgadnąć, jakie pobudki skłoniły autora do przetłomaczenia i umieszczenia w zbiorze wiersza niejakiego Tana: „Rozbójnikom pióra,“ w którym ten pan odpędza kogoś od święta Puszkinowskiego. Bez komentarza nie zrozumiemy tego. Co do wartości przekładów, da się niejednokrotnie zauważyć niedość subtelne wniknięcie w oryginał, zbyt rozwlekłe lub niezręczne jego spolszczenie, zdarzy się tu i ówdzie fatalny zwrot. Ze ślicznej i wysoce poetycznej elegii Baratyńskiego dowiadujemy się naraz, iż Goethe „szept liści pojmował i znosił się z ptakiem“! Na ogół jednak przekłady p. L. B., zwłaszcza z niemieckiego (Goethe, Heine, Hammerling) są wcale udatne, a często wprost piękne. Zdaje się, iż w tym kierunku p. B. mógłby z powodzeniem spożytkować swe zdolności rymotwórcze.

A. Drogoszewski.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

The Great Famine, by Vaughan Nash (Longmans). („Wielki głód“).

Autor podróżował po Indyach w czasie głodu i opowiada nadzwyczaj ciekawe rzeczy, których był świadkiem lub o których dowiedział się na miejscu. (*Review of* [illegible];

The Boy's Club, by B. Paul Neuman (David Nutt). („Klub chłopców“).

Autor jest wielkim zwolennikiem klubów dziecięcych i dowodzi, że one nadzwyczaj dodatnio wpływają na obyczajność i wyrobienie charakteru śród chłopców. Książka zawiera opis kilku takich klubów, założonych w Londynie. (*Bookseller*).

Das Papsttum in seiner social-kulturellen Wirksamkeit. Graf von Hoensbroech. (Breitkopf und Härtel). Leipzig. („Papiestwo i jego socyalno-kulturalne oddziaływanie“).

Autor, były jezuita, doskonale obeznany jest z tajemnicami kościoła. W pierwszym tomie mówi o inkwizycyi, procesach czarownic, zabobonach: w drugim bada wpływy papiestwa na moralność, rodzinę, uspołecznienie, sztukę, literaturę, wreszcie warunki ekonomiczne życia. Potrąca o wiele palących kwestyj bieżącej polityki europejskiej, mówi o politycznej propagandzie. Książka pełna jest rozmaitych sensacyjnych odkryć z pierwszej ręki, które wywarły wielkie wrażenie. Pierwsze wydanie książki zostało wyczerpane niezmiernie szybko. (*Frankf. Ztng*).

Educational aims and Methods, by sir Joshua Fitch. Cambridge (University Press). Price 5 s. („Cele i metody wychowawcze“).

Książka nadzwyczaj ciekawa dla nauczycieli i wychowawców. Szczególnie zajmującym jest rozdział o „Rozwoju charakteru,“ w którym autor kładzie nacisk na kształtowanie się rozmaitych charakterów pod wpływem wychowania. (*Morning Post*).

Ideals in Ireland. Edited by lady Gregory. Written by A. E. D. P. Moran, George Moore, Douglas Hyde, Standmeh O'Grady and W. B. Ueats. (Univ. Press). („Ideały Irlandyi“).

„Samodzielna literatura irlandzka zrodziła się w czasach ostatnich. Historya Irlandyi w XIX wieku była nieprzerwanym łańcuchem walk o samorząd i niezależność narodową. W literaturze irlandzkiej odbiły się przedewszystkiem echa tych bojów. Książka powyższa skreślona zbiorowemi siłami sześciu pisarzy irlandzkich, wykazuje w jaki sposób literatura irlandzka podejmowała różnymi czasy ideę irlandzką. Na szczególną uwagę zasługuje szkic pod tytułem: „Walka dwóch cywilizacyi.“ (*Daily News*).

The Power of womanhood, or Mothers and sons. A. Book for parents by Elise Hopkins. (Wells Gardner). („Potęga kobiety“).

Autor szczegółowo rozbiera wpływ matki-wychowawczyni na synów, przedewszystkiem na wyrobienie ich charakterów. Książka godna uwagi. (*Daily News*).

POEZYE

W mroku.

. . . .

Z jasnych błękitów słońce mnie woła,
Z jasnych błękitów srebrzyste chmury
Wołają w błękit i — ciszę...
— „Chodź! popłyniemy poprzez lazury!
Pójdziemy w słońcu nad ciche sioła,
Pójdziemy w słońcu nad sine góry,
W jasne błękity i — ciszę!
Chodź! chodź!..“
A tutaj mury dokoła,
A tutaj szare mroki dokoła...
A ja to ciche wołanie słyszę
Przez mroki i przez mury...

W świateł powodzi, w blasków powodzi
Lato umiera, lato odchodzi
Na srebrne dale, na srebrne cisze —
I pożegnanie barwy złotemi
Pisze na niebie, pisze na ziemi
I smętkiem w duszach i sercach pisze...

W piersi zmęczonej tęskność rośnie
I rośnie żal...
Za oknem w słońcu jesień blada
Smutnemu sercu opowiada
Baśń o kochaniu i o wiośnie,
I idzie w dal
Na żółte jakieś piaski,
Na puste jakieś pola;
Na rżyskach wiesza pajęczyny
I wiesza swoje blaski...
A od tych czarnych drzwi niedola
Pełznie i słońce do tych drzwi kołacze,
Wciska się, wpełza przez szczeliny
I woła w przestwór nieba siny —
Więc zrywam się — i płaczę...

Ktoś gra...
Żałośne płyną tony...
W blasków powodzi, w barw powodzi
Zrywa się jakiś jęk z klawiszy,
I obłąkany, i szalony
Po szarej ścianie echem chodzi
Śród mroku i śród ciszy.
A ja w kamiennej stoję zbroi —
Pancerz kamienny, hełm kamienny!
Milcząca cisza i mrok senny
To towarzysze wierni moi!..

. . . .

Chcę biedz do ciebie, jasne słońce!
Lecieć do ciebie, jasne słońce!
Wichrem się zerwać z pod tej ściany,
Pod tem sklepieniem zawyć burzą
I biedz do ciebie, biedz, o słońce!
Chcę płynąć, szumieć rzeką dużą
Przez lazur nieba źwierciadlany,
Chcę białą rosą iść do ciebie,
Białym oparem iść do ciebie,
O słońce!
Przepłynąć wielkie oceany
Szumiące,
Falą błyskawic, ogni, gromu
Rozpłynąć się po niebie!
Chcę iść o wodzie i o chlebie
W świat przepaścisty, w kraj nieznany,
Z pod tej milczącej, szarej ściany
Iść... iść o wodzie i o chlebie
I spocząć w twoim złotym domu,
O, słońce!..

. . . .

Ale za gardło noc mnie chwyta,
Chwyta za gardło ciemność szara,
W pierś moją wbija szpony...
— „Dokąd chcesz uciec?“ — ciemność pyta...
— „Dokąd chcesz uciec?“ — noc mnie pyta —
— „Jam rzeczywistość — słońce mara!
Nie wyjdziesz!.. Dziś twe zrękowiny —
Oblubienicą ciemność szara,
— ten mrok nieprzenikniony!
Cha... cha... na przestwór nieba siny
Nie wyjdziesz stąd — szalony!..“

Edward Słoński.

SPRAWY EKONOMICZNE.

DOLA I NIEDOLA LUDNOŚCI WIEJSKIEJ.

Służba dworska w pow. Płońskim.

Mówiąc o rozwoju fizycznym ludności okolic Płońska podzieliłem ludność wiejską ze względu na warunki społeczne i ekonomiczne, na trzy grupy: względnie zamożnych gospodarzy, małorolnych włościan i bezrolną służbę dworską, szlachecką i gospodarską. W niniejszym zaś artykule chciałbym zapoznać czytelników z życiem ekonomicznem t. zw. „ordynaryuszów,“ tj. służby dworskiej, godzącej się na ordynaryę. Pod względem narodowościowym służba dworska w naszych stronach składa się prawie wyłącznie z Polaków, choć spotykamy wśród niej Netzów, Arztów, Gottliebów, Stengrów pochodzenia niemieckiego i wyznania protestanckiego, którzy jednakże nierzadko przerabiają nazwiska swoje na Stengierskich, Gottliebskich itp.; Fakinetów, Sarrienów, Martenów itp. potomków Francuzów znalazłem ledwie parę, a jeszcze mniej, bo tylko dwóch Rosyan prawosławnych. Nigdy natomiast, wyjąwszy w dawnych koloniach Posnerowskich (w Kucharach, Idzikowicach itd.) nie spotkałem Żyda pomiędzy służbą — prawdopodobnie wskutek przepisów i tradycyj religijnych. Ze względu na małą tylko domieszkę żywiołów obcych zajmę się więc w dalszym ciągu mojej notatki tylko służbą polską, rekrutującą się przeważnie 1) z dawnej służby folwarcznej, nieobdarzonej w 1864 roku gruntem; 2) z synów włościan, niemogących utrzymać się na ojcowskiem poletku; 3) z włościan małorolnych, którzy doszli do przekonania, że „lepiej swoje kilka morgów wypuścić w dzierżawę, a samemu iść w służbę do dworu, bo przynajmniej się człowiek tyle nie namartwi, z czego żyć i czem zapłacić podatki“; 4) z podupadłych gospodarzy dawn[illegible] lewszczyzn, co się zdarza bardz[illegible], 5) z podupadłej szlachty zagonowej, która zwykle obejmuje stanowiska oficyalistów dworskich, rzemieślników, ale czasami dostaje się i pomiędzy służbę, a wtedy choć nie zapomina o swoich tradycyach szlacheckich, publicznie jednak do nich się nie przyznaje, gdyż towarzysze niedoli nie ominą żadnej sposobności, żeby niemiłosiernie nie szydzić z ich upadku („Co mi po szlachectwie, kiedy na grzbiecie podarta sukmana,“ mówił mi jeden z tych biedaków); wreszcie 6) jeżeli uwzględnić pochodzenie po mieczu, z synów tych obywateli, którzy uważają sobie za obowiązek społeczny wyręczać swych parobków w funkcyi powiększania ludności.

Służba dworska, co do pobieranego wynagrodzenia, dzieli się na zamożniejszą, a więc oficyalistów dworskich: ogrodników, stelmachów, kowali, kucharzy, stangretów, owczarzy, karbowych, włodarzy, i na gorzej płatną: fornali, ratajów, pasterzy. Do gorzej też płatnych należą t. zw. „samoszyjcy,“ czyli „pojedynki,“ tj. parobcy nieżonaci na dworskim stole, oraz dziewczyny zajęte przy kuchni, oprzętki, wreszcie lepiej płatne kucharki, gospodynie itp. Wszyscy z wyżej wymienionych, z wyjątkiem pojedynków i dziewczyn, mogą być godzeni z „posyłką“ albo „bez posyłki.“ Posyłką zaś nazywa się chłopiec lub dziewczyna—zwykle taki, który „uradzi półkorcówkę“ (pół korca zboża), a więc co najmniej 15 lub 16-letni wyrostek. Posyłce „gospodarz,“ tj. parobek, zawierający umowę z dworem, obowiązany jest dać życie, opranie, obszycie i pensyę, dwór zaś obowiązuje się dawać robotę codziennie i płaci za każdy dzień roboczy posyłki umówioną cenę do ręki parobkowi zwykle przy wypłacie kwartalnej. W niektórych majątkach robota dla „posyłek“ bywa bardzo ciężka; tam też pensya, jaką pobiera „posyłka,“ nieraz znacznie przenosi wynagrodzenie parobka, w niektórych zaś majątkach „posyłki“ używają tylko do młockarni, do robót lżejszych, jak: podawania snopów, odrzucania słomy, wiązania jej, grabienia, kopania kartofli, noszenia zboża do śpichlerza, zbierania kamieni z koniczyny itd. Parobkom godzącym się „z posyłką“ dwór zwykle daje większą pensyę, większą o 2—2½ korca ordynaryę (na życie dla posyłki) oraz nieco więcej ziemi pod kartofle. Parobcy uważają „posyłkę“ za bardzo niewygodny ciężar i wszelkimi sposobami starają się jej pozbyć, a więc niektórzy oddają cały zarobek we dworze, pewną ilość zboża i zagonów, o czem będziemy mówili później. Oprócz względów materyalnych niechęć do trzymania „posyłek“ powiększa niewygoda ciągłej obecności w rodzinie obcego człowieka, który zazwyczaj nie chce zastosować się do trudnych okoliczności życia swego „gospodarza,“ lecz wymaga codziennie chleba, dobrego „okraszenia jadła“ itd.; gdy nie spełnią jego wymagań, posyłka nie chce iść do roboty. Uwzględniając tę niewygodę parobków, niektóre dwory godzą ich bez posyłki. Dwory to jednak nieliczne, inne zaś służbę bez posyłki godzą tylko z konieczności, gdy nie mają dostatecznej jej liczby lub gdy chcą zrobić ustępstwo jakiemuś dobrze widzianemu sługze. Częściej zdarza się służba bez posyłki

u drobnej szlachty, która zachowała jeszcze staroświecki sposób godzenia parobków żonatych na stół dworski, a dla żony i dzieci parobka dodają jakiś korzec lub więcej zboża i kilkanaście zagonów pod kartofle. Wogóle wszystkie dwory starają się godzić parobków z „posyłkami,“ ażeby sobie zapewnić stałego i znacznie tańszego robotnika, niż najemnik dzienny. Na „posyłkę“ nie narzekają tylko ci, co mają własne dorastające dziecko, siostrę lub brata. Taka posyłka nie robi w domu różnicy, a co najważniejsza, jak się n raz zdarza z posyłką obcą, nie wędruje po wzięciu od „gospodarza“ 1 lub 2 rubli na „sukmanek“ lub „dokładkę do butów.“

Jak widzimy, nawet wśród służby dworskiej mamy kategorye lepiej lub gorzej uposażonych, lepiej lub gorzej wynagradzanych, a ponieważ wobec różnorodności materyału musimy poprzestać na przedstawieniu cyfr przeciętnych, więc zajmiemy się tylko najliczniejszą kategoryą parobków, tymi, którzy godzą się na ordynaryę z posyłką lub bez posyłki. Są to najczęściej fornale, rzadziej rataje; ci dostają zwykle o dukata mniej zasług, zapewne dlatego, że mniej zużywają butów i mniej wyjeżdżają z domu.

Wynagrodzenie służby dworskiej, godzącej się na ordynaryę, składa się: 1) z pensyi w gotowiźnie; 2) z opału; 3) ze zboża, czyli właściwej ordynaryi; 4) z zagonów, dawanych pod kartofle, len i kapustę; 5) z utrzymania „parobczyńskiej“, jak mówią chłopi, krowy; 6) z prawa chowania kilku kur i świń; 7) z izby mieszkalnej i chlewika.

Obliczenia swoje oparłem na danych, dotyczących 110 rodzin, zbadanych w 58 wsiach w r. 1897 i 1898; pomiędzy temi rodzinami jedna należała do owczarza, 4 do furmanów od koni cugowych, t. zw. stangretów (z nich 2 bez posyłki), 10 do fornali, zgodzonych bez posyłki, a pozostałe 95 do fornali z posyłkami.

Średnie wynagrodzenie służącego ze 110 obliczeń wynosiło 26 rb. 81 kop. rocznie. Owczarz otrzymuje 43 rb., furmani od cugowych koni średnio 32 rb. 42 kop., fornale z posyłką 26 rb. 79 kop., a fornale bez posyłki 23 rb. 86 kop. rocznie. Pensyę tę służba dostaje w ratach kwartalnych. W niektórych dworach służba w razie jakiejś nagłej potrzeby dostaje pensyę i przed kwartałem, w ostatnich jednak latach, wobec częstych ucieczek do Prus, odmawiają wydawania pensyi przed końcem kwartału. Najczęściej, bo w 63 wypadkach, służący, godząc się na ordynaryę, otrzymuje pensyi w gotowiznie 10 dukatów, tj. 27 rubli. Opał dostaje służba dworska w naturze lub też w pieniądzach. Wogóle dwory starają się dawać opał w naturze, gdyż pieniądze dane na opał często bardzo bywają zużywane na co innego, a w braku opału żony parobków rozbierają płoty, przywłaszczają sobie każdy kawałek drzewa „porządkowego,“ znajdującego się w podwórku, przyczem zachodzą nieraz pocieszne sceny w tym np. rodzaju, że zaufany karbowy „melduje“ dziedzicowi: „Wielmożny panie, chłopy rozbierają stodołę, bo drzewa im nie przywieźlim, a baby nie mają przy czem gotować obiadu.— O niechże ich wszyscy djabli porwą! A toć przywieźta im choć po kilka szczap drzewa, bo mi gotowi jeszcze rozebrać i dwór!“ — odpowiedział dziedzic, który przedtem nie mógł znaleźć czasu na posłanie po drzewo dla parobków.

Zwykle dla taniości chłopi nie kupują drzewa szczapowego ale gałęzie (po 1 rb. 50 kop. do 2 rubli kupkę) karpinę, torf (po 2 ruble klaftra). Wysokość sumy wydawanej na opał waha się w dosyć szerokich granicach, w 1897 roku wynosiła jednak najwyżej rs. 12, a najmniej rs. 5 u parobka bez posyłki. Pieniądze na drzewo dawano 35 (ze 110) parobkom: w 6 wypadkach po 12 rubli, w 7 po 10, w 12 po 8 r. w 6 po 6 i w 4 po 5 r. Ma się rozumieć taka mała suma nie wystarcza, parobcy też muszą zwykle dokupywać drzewa, lub torfu bo nawet przy dawniejszych niskich cenach drzewa 12 rubli wystarczało tylko wyjątkowo zapobiegliwej parobkowej. Zwykle jednak parobek otrzymujący 6—8 rubli na opał ma jednocześnie prawo zbierać gałęzie w dworskim lesie, i tem się ratuje od znacznego wydatku. W niektórych (6) dworach dają i opał i pieniądze; większość jednak majątków daje swej służbie opał gotowy. Najczęściej, (w 28 wypadkach) służący dostaje po 2 sążnie drzewa szczapowego, rzadziej (7 razy) po $1^1/_2$, (do czego czasami dodają kupkę gałęzi, w 16 wypadkach po 1 sążniu drzewa; do którego dodaje się kupkę gałęzi lub klaftrę 1 (lub dwie) torfu, w dziewięciu wypadkach powiedziano, że dostają tyle drzewa lub torfu, ile wypalą, a w czterech wypadkach dostawali aż po 3 sążnie karpiny. 17 rodzin musiało drzewa dokupywać, przyczem najniższa suma wydana na ten cel wyniosła 1 r. 20 kop, najwyższa 5 r. 50 kop., a ogólna ilość pieniędzy wydana przez wszystkie 17 rodzin równa się 54 r. 17 kop., średnio więc na 1 rodzinę z dokupujących drzewo wypada 3 rub. i 10 kop., a gdy weźmiemy wszystkie 110 rodzin pod uwagę — 49 kopiejek. Właściwa ordynarya — składa się zwykle z kilku korcy żyta, jęczmienia, grochu i pszenicy,— wyjątkowo tylko w 1 wypadku dodawano 3 ćwiartki kaszy gryczanej. Dawniej za niezbędną część składową ordynaryi uważano sól — w ilości 4 garncy rocznie, obecnie — okazało się, że soli parobcy zużywają daleko więcej, — a że mierzenie owych 4 garncy bywa dosyć kłopotliwem, więc zamiast soli nabywają parobcy prawo posyłania swych świń pod opiekę dworskiego pastucha lub też otrzymują 5 kop., na sól; 15 jednak parobków podało mi, że dostają sól w naturze. Najczęściej spotykana ordynarya (74 wypadków) składa się z 5 korcy żyta, 4 korcy jęczmienia, 1 korca grochu i ćwiartki lub pół korca pszenicy; 12-korcową ordynaryę (6 korcy żyta, 4 jęczmienia, 1 grochu, 1 pszenicy) zanotowałem w 4 wypadkach, $11\frac{1}{2}$-korcową w 7; jeden parobek bez posyłki, zmuszony ostateczną biedą, zgodził się na 7 korcy ordynaryi, w 2 wypadkach — również bez posyłki — parobcy dostawali tylko $7^1/_4$, najczęściej jednak, bo w 6 wypadkach, parobek bez posyłki dostawał $8^1/_4$ korca ordynaryi, a mianowicie: 4 korce żyta, 3 jęczmienia, 1 grochu, ćwiartkę pszenicy; w jednym tylko majątku parobek bez posyłki dostaje 10 korcy ordynaryi. W tych majątkach, w których się nie rodzi jęczmień, dają zamiast niego żyto w stosunku 200 funtów za korzec, w niektórych nie dają grochu, czasami znów parobek woli wziąć nieco więcej żyta, a mniej jęczmienia itp. Średnio na 1 rodzinę bez posyłki wypada 8 korcy i $^1/_4$ ćwiartki, a na rodzinę z posyłką 10 korcy i 3 ćwiartki, na 1 zaś rodzinę wogóle 10 korcy i $2^1/_2$ ćwiartki. Możnaby się zapytać czy otrzymywana w ordynaryi ilość zboża wystarcza na potrzeby parobka, czy nie? Otóż niektórym, mającym mało, albo też wcale niemającym dzieci taka ordynarya nietylko wystarcza, ale nawet 5 rodzin mogło nieco zboża sprzedać, częściej jednak zdarza się, że parobek musi zboża dokupywać. Żyta naprzykład dokupywało 41 rodzin w ogólnej sumie $44^1/_2$ korca, jęczmienia 7 rodzin kupiło 8 korcy, grochu 4 rodziny— 7 ćwiartek, kaszy jęczmiennej, 4 rodziny kupiły korzec i 12 garncy, pszenicy 2 rodzin 7 ćwiartek, mąki 3 rodziny $3^1/_2$ puda, chleba 26 rodzin 2,662 funty, — najczęściej jednak, bo aż w 79 wypadkach dokupywano kaszy jaglanej (jadanej przeważnie w żniwa) w ogólnej ilości przeszło 34 korcy.

Po zsumowaniu wszystkiego dokupowanego zboża okazuje się, że 110 rodzin dokupiło zboża $126^1/_2$ k., a ponieważ 5 rodzin sprzedało $6^1/_4$ k., pozostaje więc $120^1/_4$ k. czyli na 1 rodzinę $1^1/_4$ k., o tyle więc, conajmniej, dwory dają zamało ordynaryi. Zboże tak samo jak i drzewo służba dworska dostaje w ratach kwartalnych, wyjątkowo tylko, jeśli przyjdzie do służby taki nędzarz, który na dawnem miejscu tego się dorobił, że niema co jeść, a więc niema sił do pracy, wówczas dwór wydaje mu naprzód część należnej ordynaryi. Potrzebne zboże parobcy zwykle kupują ze dworu i dostają takowe nieco taniej, niż po cenach targowych, gdyż obywatel odlicza sobie koszta furmanki. Niektórzy obywatele, chcąc przyjść z pomocą swoim służącym, sami sprowadzają w większych partyach kaszę jaglaną (prosa u nas nie sieją), i odstępują ją po niższej od targowej ceny. Przyznać trzeba, że podczas nieurodzaju kartofli większość dworów ostatniemi czasy dodaje bezinteresownie do ordynaryi korzec grochu, jęczmienia, lub kilka korcy kartofli. (D. n.).

Dr. L. Rutkowski.

NA MARGINESIE.

— Doktór Dillon, który przed laty wywołał już wielkie niezadowolenie w kołach dyplomatycznych Europy opisem rzezi ormiańskich, obecnie w *Contemporary Review*, znów kompromikuje *cywilizacyę* sprawozdaniem ze swej podróży śladem armii związkowej z Tien-Tsinu do Pekinu. Urodzajna dolina Pej-ho po przejściu „nowych hunnów“ zamieniła się w szczerą pustynię. Miasta i wsie legły w gruzach, mieszkańcy zostali wymordowani bez względu na wiek i płeć. Ocaleli ci tylko, co ujść zdołali. W samym Tien-Tsinie zaszły sceny niesłychanego wyuzdania. Najbardziej ucierpiały kobiety. „Znałem pewnego powszechnie szanowanego Chińczyka — pisze doktór — którego żonę potraktowano w najhaniebniejszy sposób, a następnie zamordowano wraz z małem dzieckiem. Ten Chińczyk był przyjacielem Europejczyków, ale jak z nimi postąpi obecnie, gdy mu wpadną w ręce, doprawdy nie wiem. Należy przypuszczać, że będzie się mścił strasznie. Poznałem wielu Chińczyków, których żony i córki powiesiły się lub utopiły, aby uniknąć okropnego losu. Widziałem trupy okropnie okaleczonych kobiet i dzieci w Pekinie i Tung-Czau. Zakonnica-misyonarka opowiadała mi i potwierdzały to jej towarzyszki, że w ciągu wielu miesięcy musiały w wielkim sekrecie chować u siebie chińskie kobiety i dzieci przed Europejczykami, którzy niby przyszli ich bronić...“ Dr. Dillon mówi w końcu, iż *rzezie ormiańskie bledną zupełnie w porównaniu z czynami Europejczyków w Chinach.* A więc wojska sprzymierzone na długo wykopały nieprzebytą przepaść między rasą żółtą i białą, między Azyą i Europą... zaś nazawsze utopiły w niewinnie przelanej krwi... krzyż.

— *Revue des Revues* zamieściło ciekawy opis haremu sułtana. Na odaliski skupują przeważnie młode dziewczynki czerkieskie, które następnie kształcą w szkole haremu, uczą tańców, śpiewu i... kwiecistej mowy. Wiedzą odaliski o życiu, wypadkach bieżących i nauce tyle tylko, ile im opowiedzą eunuchowie lub sułtan, który lubi w ten sposób... *wywierać wrażenie* na swych faworytkach.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W Towarzystwie rozdawnictwa odzieży i opału biednym pani Chwatowa podała projekt zapisywania do Towarzystwa, wzorem angielskim, dzieci, aby były obecne przy rozdawnictwie darów i mogły się do nich przyczynić,

składając rocznie lub miesięcznie na ten cel jakąś niewielką sumkę ze swych oszczędności. Piękną tę myśl wszystkie matki powinny poprzeć i jak najrychlej w czyn wprowadzić.

— W tych dniach Towarzystwo pomocy doraźnej (Pogotowie ratunkowe) zdało sprawę z działalności swej na zebraniu ogólnem członków: ofiarność publiczna jest głównem źródłem dochodów Towarzystwa, wkłady członków (788) dają 5,985 rb., z zabaw wpłynęło 16,481 rb., wydawnictwo kalendarza przyniosło 2,137 rb. 40 kop. Wydatki w sumie ogólnej wyniosły 44,086 rb. Towarzystwo postanowiło zająć się energicznie zebraniem funduszu na budowę własnego domu.

— Towarzystwo antropologiczne w Paryżu przyznało p. Zygmuntowi Zaborowskiemu, synowi Polaka emigranta, godność oficera oświaty publicznej — „officier d'instruction publique." P. Zaborowski jest uczniem szkoły batiniolskiej; w uniwersytecie studyował medycynę i przyrodę. Po ukończeniu studyów poświęcił się badaniom naukowym, głównie nad antropologią. Jest [redacted] i bibliotekarzem-archiwistą Towarzystwa antropologicznego.

— W r. 1900 ofiarowano komisyi kolonizacyjnej w Poznaniu 264 majątki większe a 151 gospodarstw włościańskich, ogółem 124,015 hektarów obszaru. Na własność polską przypada w tem 38,182 hektarów. Komisya wydała w tym roku 17½ miliona marek.

Szkoły. Komisya pedagogów, która obradowała nad sprawą reformy szkolnej, opracowała, jak donosi *Prawit. Wiest.*, typ ogólnokształcącej szkoły średniej z dwoma językami starożytnymi: łacińskim, poczynając od klasy trzeciej, i greckim — od klasy piątej. Ilość godzin, przeznaczonych na naukę języków starożytnych, została znacznie zmniejszona, postanowiono natomiast rozszerzyć wykłady języka, literatury, historyi i geografii rosyjskiej, jako też historyi naturalnej, która będzie przedmiotem obowiązkowym w gimnazyach. Język francuski i niemiecki również mają być przedmiotami obowiązkowymi.

Hygiena. Towarzystwo opieki nad nerwowo i umysłowo chorymi projektuje urządzenie przytułku dla 20 umysłowo chorych, uzdrowiska dla chorych nerwowych i zorganizowanie opieki cyrkułowej.

— W W. Ks. Poznańskiem i na Śląsku panowała duża śmiertelność: na 1000 mieszkańców umarło w Poznaniu 21,0, w Bydgoszczy 25,3, w Opolu 25,5, w Lignicy 25,8, we Wrocławiu 26,8.

— Towarzystwo opieki nad nieuleczalnymi chorymi urządziło dla swoich członków szereg pogadanek na temat głównych zasad hygieny i udzielania pierwszej pomocy w wypadkach nagłych.

— Rada Tow. hygienicznego przeznaczyła 75 rb. na koszta wydania krótkiej monografii o dżumie w celu zapoznania szerszego ogółu z istotą dżumy, jej przebiegiem i sposobami walczenia z nią.

Zjazdy. W Petersburgu odbył się zjazd młynarzy, który uznając potrzebę taniego kredytu dla przemysłu młynarskiego, postanowił zająć się założeniem banku wzajemnego kredytu dla młynarzy. Młynarze warszawscy prosili telegraficznie, aby zjazd wyjednał u ministra spraw wewnętrznych pozwolenie na tymczasowy pobyt w stolicy w interesie handlu mącznego młynarzom Żydom i ich agentom. Zjazd prośbę odrzucił. Natomiast w sprawie nabywania ziemi przez Żydów młynarzy w guberniach północno-zachodnich, jeśli to nie będzie przestrzeń większa od 6 dziesięcin, zjazd postanowił podania takie popierać we właściwym urzędzie państwowym.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pani P. Z. Łac. *secessio*, fran. *secession* znaczy: wyjście, odłączenie się. Secesyonistami nazwali się artyści, którzy odłączyli się od jakiegoś stowarzyszenia, wystawy, szkoły itp. i utworzyli własny związek. Jeżeli taki związek, taka grupa nabiera z czasem pewnych cech znamiennych, ogólny wyraz *secesyonizm* staje się ich szczegółowem mianem.

Panu N. Poetką pisującą w *Prawdzie* pod pseudonimem *El - ka* jest p. Ludwika Kalenkiewiczowa.

— **Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych** w Królestwie Polskiem ma zaszczyt podać do wiadomości, że Zarząd Cesarskich zakładów porcelany i szkła celem opublikowania i przyciągnięcia możliwie większej liczby osób do udziału w konkursie, ustanowionym na wykonanie artystycznych rysunków, podług których mogłyby być wykonywane przedmioty z porcelany i szkła, nadesłał warunki tego konkursu, które są do przejrzenia w kancelaryi Towarzystwa.

Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 22 Марта 1901 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.